

Szkielet bez palców

Jerzy Edigey



calibre 0.9.27

Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07...

Jerzy Edigey

SZKIELET BEZ PALCÓW

ISKRY, WARSZAWA 1968

ROZDZIAŁ I

Zaczęło się w upalny dzień

Bardzo lubię Wrocławski Klub Dziennikarza. Nawet nie dlatego, że kawa jest mocna i gorąca, a sympatyczne kelnerki nigdy nie odpowiadają „koleżanka”! Ile razy los reportera rzuci mnie do nadodrzańskiego grodu, zawsze wstępuję do Klubu, bo można tam spotkać najciekawszych ludzi z całego Wrocławia i zdobyć masę wiadomości. Klub położony jest przy ulicy Świdnickiej, w samym centrum miasta. Wystarczy usiąść tam i czekać, a na pewno spotka się tego, kogo się szuka.

Ja najczęściej szukałem jakichś wiadomości z dziedziny „kryminału”. Klub jest tak blisko, prawie w bezpośrednim sąsiedztwie Wojewódzkiej Komendy MO, że „upolowanie” tu oficera milicji, który wstąpił na filiżankę kawy, nie było nigdy większym problemem. A wiadomo, inaczej rozmawia się przy kawie lub kieliszku koniaku niż w gabinecie KW MO.

Częstym gościem w tym lokalu był major Krzyżewski, spotkałem go więc i dziś.

Znałem majora nie od dzisiaj. Znałem też duży szmat historii jego życia. Wiedziałem, że kiedyś, przed piętnastu laty, młody wówczas porucznik MO, przydzielony do Komendy Stołecznej, pojechał pierwszy raz w życiu do Wrocławia. Służbowo na dwa dni w jakiejś błahej sprawie. Miasto tak go oczarowało, że natychmiast po powrocie do Warszawy złożył

podanie o przeniesienie nad Odrę. I tam już pozostał.

Major był niewyczerpaną skarbnicą wiadomości. Prowadził przecież tyle niezwykłych spraw i co bardzo ważne, umiał o nich opowiadać. Teraz również zadał mi na pozór niewinne pytanie:

- Czy w Warszawie słyszał ktoś o szkielecie bez palców?

- Szkielet bez palców? - zainteresowałem się, łowiąc temat. Jakakolwiek byłaby sama sprawa, tytuł naprawdę znakomity. - Co to było? Nie słyszałem o tej historii.

- Nic dziwnego - major nie mógł powstrzymać się od drobnej złośliwości pod adresem przybysza ze stolicy - w Warszawie nie czytają prasy wrocławskiej. I nie zdarza się, żeby któryś ze stołecznych dziennikarzy zainteresował się kiedyś jakimś tam prowincjonalnym śledztwem. Ale to za długa historia do opowiadania. Tym bardziej, że została rozwiązana.

Dzisiaj leży już w archiwum sądowym i nasiąka kurzem. Nasze podręczne akta milicyjne również zostały obwiązane sznurkiem i zjechały na półkę do piwnicy, gdzie będą leżały jeszcze długie lata. Szkoda czasu na gadanie o tym, co przeminęło.

Znałem dobrze Adama i wiedziałem, że jeżeli teraz zacznę prosić i nalegać, aby opowiedział mi całą historię, nic z tego nie wyjdzie. Major zasłoni się po prostu brakiem pamięci! Więc tylko dyskretnym ruchem kiwnąłem na podającą. Za chwilę na stoliku zjawiły się nowe kawy i kieliszki z koniakiem. Mieszając kawę rzuciłem od niechcenia:

- Szkielet bez palców? Muszę sobie zapamiętać to wyrażenie. Może przy jakiejś innej okazji uda mi się wykorzystać je w tytule. A swoją drogą szkoda, że major nie pamięta tej sprawy.

- Ja nie pamiętam sprawy! - oburzył się Krzyżewski. - Nie zaglądając do akt mógłbym opowiedzieć ją ze wszystkimi szczegółami.

- Niech pan tak się nie przechwala. Przecież macie tysiące najrozmaitszych spraw dużych i małych, i po prostu sprawek. Pamięć ludzka nie jest mózgiem elektronowym. Nowe wiadomości i nowe fakty wypierają z niej wszystko, co działo się dawniej. Oczywiście pozostaje świadomość całej historii, jak gdyby jej streszczenie. Ale co do szczegółów, to już pan przeholował, majorze, tego niepodobna zapamiętać.

- Nieprawda. Tę sprawę pamiętam, jak gdyby to było dzisiaj.

- To się panu tylko zdaje. A gdyby pan zaczął opowiadać, bardzo szybko zabrakłoby panu wątku. Różne drobne szczegóły zawsze zacierają się w pamięci i na to nie ma już rady.

Jestem pewien, że nie potrafi pan sobie przypomnieć nawet, jaka była pogoda tego dnia, kiedy zaczęła się cała ta historia. Oczywiście, gdyby pan miał przed sobą akta i mógł do nich zaglądać, wtedy odświeżyłoby się wiele interesujących fragmentów tamtych zdarzeń.

Podobnie bywa w teatrze. Nawet najlepszy i najpracowitszy aktor, który umie świetnie rolę, potrafi na scenie tak się zaciąć, że wszystko zapomina. Wtedy jedno słówko, rzucone w porę przez suflera, pozwala mu przypomnieć sobie całą kwestię.

- Przypominam sobie historię tego szkieletu - zauważył siedzący w naszym towarzystwie dziennikarz z wrocławskiej prasy. - Pisaliśmy o tym. Byłem na rozprawie sądowej. Główny „bohater” dostał karę śmierci. Pamiętam, jak wyglądał. Rosły, atletycznie zbudowany młody chłopak. Miał chyba ze dwadzieścia pięć lat. Nie więcej. Ale oczywiście, nie potrafiłbym dużo o tym powiedzieć. Wiem, że palce szkieletu grały w całej sprawie decydującą rolę.

- Główny sprawca zbrodni został skazany początkowo na karę śmierci - poprawił major.

- Jednakże Sąd Najwyższy zmienił wyrok i skończyło się na dożywociu. Miał dwadzieścia trzy lata. Dobrze pan zapamiętał, redaktorze, rzeczywiście był z niego kawał chłopca.

- To zupełnie naturalne - zauważyłem - że pan jako prowadzący śledztwo pamięta nieco więcej szczegółów niż redaktor, który ze sprawą zetknął się tylko powierzchownie i był

jedynie na rozprawie. Ale niech pan powie, majorze, wracam do mojego poprzedniego pytania: jaka była pogoda, kiedy ta sprawa do was wpłynęła?

- Nie złapie mnie pan - roześmiał się major. - Tego dnia był ogromny upał. To był chyba najgorętszy dzień nie tylko tamtego lata, ale w ogóle nie pamiętam, żeby we Wrocławiu było kiedykolwiek równie gorąco.

- Lato stulecia?

- Nie. To było pod koniec lipca 1960 roku. Lato nie było wtedy specjalnie gorące.

Przeciwnie, często padał deszcz i zdarzało się wiele dni zupełnie chłodnych. Aż tu nagle pod koniec lipca zaczęły się tropikalne upały. Trwały zresztą krótko, niecały tydzień.

- Doskonale pamiętam - przytaknął jeden z kolegów - było tak potwornie gorąco, że kilka osób zemdlało na ulicy. Wszystko, co żyło w naszym mieście, siedziało nad Odrą albo po prostu w Odrze, chociaż i woda była tak ciepła, że niewiele dawała ochłody. Życie we Wrocławiu prawie zupełnie zamarło.

- Przypominałem sobie. Na Dolnym Śląsku panowały upały, a w Warszawie padały deszcze i było chłodno. Meteorolodzy bardzo zawile tłumaczyli to zjawisko dwóch klimatów nad Polską jakimiś niżami i wyżami. Bardzo wam wtedy zazdrościliśmy.

- Mnie nie było czego - powiedział Krzyżewski - okno mojego pokoju w Komendzie Wojewódzkiej wychodzi na słoneczną stronę. Siedziałem więc za biurkiem i dosłownie powoli się rozpuszczałem. Kto tylko miał jakikolwiek pretekst, wymykał się z gmachu komendy. Ja musiałem siedzieć i mogłem tylko marzyć o cienistej alei nad Odrą, ale niestety nie miałem żadnego powodu, aby się tam znaleźć.

Już byłem w domu. Wiedziałem, że kiedy Adam zacznie mówić, to nie przerwie, dopóki nie opowie całej historii do końca. Poprawiłem się więc w fotelu i pilnie słuchałem. Znając Krzyżewskiego nie od dziś, byłem pewien, że major doskonale jednak pamięta całą sprawę.

Oficer milicji upił łyk kawy i jak przewidywałem, podjął swoją opowieść.

ROZDZIAŁ II

Meldunek z ulicy Kielbaśniczej

Wiatraczek elektryczny stojący na biurku majora wirował nieustannie. Ale ten lekki powiew nie dawał najmniejszej ochłody. Mury wielkiego budynku Wojewódzkiej Komendy MO, rozpalone słońcem, grzały - jak najlepszy kaloryfer, a promienie słoneczne padały wprost w okno. Toteż w małym gabinecie majora Krzyżewskiego panował upał jak w łaźni.

Major siedział przy biurku i raz po raz ocierał z twarzy pot ręcznikiem, który wisi na sąsiednim krześle. Kurtka mundurowa i krawat dawno powędrowały na wieszak. Na biurku przed oficerem MO leżały jakieś papiery, ale czy można skupić się na najciekawszych nawet aktach śledztwa, kiedy słupek rtęci na termometrze dawno już przekroczył trzydziestkę i niebezpiecznie zbliżał się do czterdziestki? Po prostu major sam siebie oszukiwał udając, że pracuje. Jego myśli wybiegały nad Odrę. Tam jest zieleń, cień drzew, a szybki nurt wody musi wywoływać powiew chłodzący nieco ten

upalny dzień. Niestety, nie wszyscy mieszkańcy Wrocławia mogli uciec przed potwornym gorącem nad rzekę. Większość z nich, podobnie jak major Krzyżewski, musiała tkwić przy swoim warsztacie pracy. Nagle zadzwonił telefon.

- Krzyżewski, słucham - rzucił w słuchawkę oficer MO.

Dzwonił dyżurny. Właśnie przed chwilą do komendy wpłynął meldunek, że robotnicy pracujący przy rozbiórce jakichś ruin znaleźli pod gruzami szkielet ludzki.

- Dlaczego nie dali znać do Komendy Miejskiej? - zapytał major.

- Twierdzą, że nie mogli się z nimi połączyć - wyjaśnił dyżurny oficer - a pewnie zatelefonowali pod pierwszy numer, jaki znaleźli w książce telefonicznej. Czy zawiadomić miejską?

- A dlaczego zwracacie się z tym do mnie, poruczniku?

- Przepraszani pana majora, ale w operacyjnym chwilowo nikogo nie ma. Wszyscy rozeszli się lub rozjechali do miasta w jakichś sprawach. Dzwoniłem też do kapitana Laska i do kapitana Napiórkowskiego. Ich również nie ma w gmachu...

- Taka spiekota, to każdy prysnął z komendy, gdzie mógł - roześmiał się major.

- To zawiadomić Komendę Miejską? - ponownie zapytał dyżurny.

- Gdzie znaleźli ten szkielet? - zainteresował się major.

- Przy ulicy Kielbaśniczej. Teraz prowadzą tam rozbiórkę gruzów. Tuż przy Odrze.

Domy były spalone i już dawno rozebrali je na cegłę. Pozostały tylko niskie sterty rumowisk.

Obecnie mają coś nowego budować, więc przedsiębiorstwo oczyszcza teren i wywozi resztę gruzu. Tego truposza znaleźliśmy na posesji oznaczonej numerem dwudziestym dziewiątym.

Jeszcze jeden Niemiec, który zginął w czasie oblężenia miasta i do tej pory przeleżał pod ceglami.

- Przy Kielbaśniczej? Nad Odrą? - upewnił się Krzyżewski.

- Właśnie. Jeden z ostatnich placów w stronę rzeki - objaśniał dyżurny - posłałem tam już radiowóz, żeby zabezpieczyli wszystkie ślady.

- Który z lekarzy ma dzisiaj dyżur?

- Doktor Stanisław Kamiński.

- Zawiadomcie go, poruczniku, o wszystkim i niech zaraz przyjdzie do mnie. Ponieważ nikogo nie ma, zajmę się tą sprawą i pojedziemy z doktorem na miejsce.

- Tak jest, panie majorze. Samochód będzie czekał na dole.

Major Krzyżewski odłożył słuchawkę. Humor wyraźnie mu się poprawił. Krzyżewski znany był z pracowitości, ale najpracowitszy człowiek cieszy się, kiedy pod godziwym pozorem uda mu się wyprysnąć na parę godzin z biura rozpalonego jak piec piekarski.

Za chwilę zjawił się w pokoju majora lekarz milicyjny, doktor Stanisław Kamiński. On też ciągle ocierał czoło z potu.

- Jedziemy na tę Kiełbaśniczą? - zapytał.

Major z wyraźną niechęcią włożył krawat i bluzę mundurową - warszawa czekała na dole.

- Na Kiełbaśniczą to zaledwie parę kroków - zaproponował lekarz - moglibyśmy się przejść. Może po drodze wstąpimy na lody - kusił.

- Teraz nie da rady. - Krzyżewski chętnie korzystał z okazji, żeby opuścić rozgrzany pokój. - Chyba w drodze powrotnej. Tam czeka radiowóz i cała robota stanęła.

- Wyobrażam sobie, jak się ludzie ucieszyli, że w taki skwar mogą trochę posiedzieć w cieniu. Dzisiaj nawet kupa ludzkich kości jest dobrym pretekstem. Nie pogniwaliby się, gdybyśmy tam przyszli i za cztery godziny. No, ale jak nie można, to nie można. Za to z powrotem nie ustąpię. A z tym trupem uwiniemy się szybko. Jeszcze jeden Niemiaszek, który wyciągnął kopyta „für Führer und Vaterland”. Spisze się protokół i niech go miasto pochowa na cmentarzu w kwaterach żołnierzy hitlerowskich.

Sprawa rzeczywiście była prosta. Przy pracach nad odgruzowaniem miasta znajdowano bardzo często w zawalonych piwnicach lub pod zwałami gruzu szkielety ludzkie. Wrocław przeżywał przecież kilka miesięcy oblężenia, bombardowania i ostrzału artyleryjskiego, zanim wreszcie wojskom radzieckim udało się przełamać ten ostatni punkt oporu hitlerowskiego na ziemiach polskich. Pod gruzami zginęło wielu żołnierzy, a przede wszystkim ludności cywilnej, której broniące się oddziały hitlerowskie nie pozwoliły opuścić miasta. Więc i tym razem odkrycie przy Kiełbaśniczej nie zapowiadało żadnych sensacji.

Gdyby nie upał, dla takiego głupstwa Krzyżewski nigdy by nie opuścił swojego gabinetu, gdzie czekały na niego sprawy o wiele ważniejsze.

Za chwilę zielona warszawa zatrzymała się na ulicy Kiełbaśniczej. Tutaj prowadzono roboty rozbiórkowe szerokim frontem - wywożono gruz jednocześnie z kilkunastu posesji.

Przed jedną z nich stał radiowóz. Kierowca samochodu majora zatrzymał swoją warszawę tuż koło niego. Sierżant, dowódca patrolu, zameldował majorowi, co dotychczas udało się ustalić.

Oto ekipa robotników ładowała na samochód ciężarowy sporą hałdę gruzu. Znajdowała się ona, co dało się ustalić z zarysów ścian zburzonego budynku, na środku podwórza. W czasie pracy pod łopatą jednego z robotników błysnęło coś białego. Za chwilę okazało się, że jest to ludzka czaszka. Jeszcze parę uderzeń kilofem i zorientowano się, że jest tam cały szkielet ludzki. Brygadzysta Jan

Olszewski, zawiadomił o tym odkryciu technika mającego nadzór nad robotami. Ten zadzwonił do Komendy Wojewódzkiej. Roboty przerwano, grupka robotników rozsiadła się pod pobliskim kasztanem i zażywając odpoczynku komentowała znalezisko.

Major wraz z lekarzem zbliżyli się do hałdy gruzu. W niewielkim zagłębieniu widać było prawie całą ludzką czaszkę i pierwsze kręgi szyi. Doktor Kamiński pochylił się nad kośćmi.

- Nie ulega wątpliwości, że pod cegłami znajduje się reszta szkieletu. Trzeba go odgrzebać.

- Panowie! Dwóch z łopatami! - zawołał sierżant.

Pomimo upału nie trzeba było się prosić. Ludzie są ciekawi, toteż na ten apel pośpieszyli wszyscy robotnicy.

- Dwóch wystarczy - lekarz powstrzymał resztę - proszę się trochę odsunąć, żeby nie przeszkadzać. Będziemy rękoma odrzucać większe cegły, a szpadelkiem delikatnie zbierać gruz tak, żeby nie uszkodzić kości.

To mówiąc doktor sam zabrał się do roboty. Pomagali mu dwaj robotnicy oraz jeden z milicjantów. Robota była łatwa, bo zmarły pochowany był bardzo płytko. Warstwa cegieł i gruzu miała najwyżej trzydzieści centymetrów.

Podczas gdy robotnicy odsłaniali grób, major Krzyżewski rozglądał się ciekawie dokoła.

Po dawnym budynku pozostały jedynie mury parteru sięgające najwyżej metra wysokości.

Całe podwórze zavalone było gruzem i poobtłukiwanymi cegłami. Od razu dostrzegano się, że poprzednią rozbiórkę prowadzono w sposób rabunkowy. Z murów wybierano części metalowe i cegły bez uszkodzeń. O resztę gruzów nikt się nie troszczył, pozostawiając bezładne rumowisko. Teraz z kolei trzeba je było usunąć, żeby oczyścić plac przed przystąpieniem do nowej budowy. Wśród cegieł poniewierały się jakieś strzępki papieru. Z

zawodowego nawyku major podniósł kilka papierków. Ku swemu zdziwieniu stwierdził, że są to szczątki jakichś gazet wrocławskich, ale nie z okresu walk o miasto, lecz znacznie późniejszych, bo już polskich. Te strzępki znajdowały się nawet w gruzie tworzącym mogiłę nieznanego człowieka, którego szkielet stopniowo wyłaniał się spod łopat robotników.

Oficer milicji wyjął z teczki dużą, szarą kopertę i starannie pozbierał wszystkie papierki.

Schował je do koperty i umieścił na niej napis:

„Resztki gazet znalezione obok szkieletu przy ul. Kiełbaśniczej”.

Jeszcze dziesięć minut pracy i cały szkielet został odsłonięty. Leżał w płytkim rowie, pod cienką warstwą gruzu.

Lekarz uważnie oglądał to, co pozostało z żywego niegdyś człowieka.

- Mężczyzna - stwierdził - ale niedużego wzrostu. Wiek? Bez specjalnych badań nie da się tego ustalić. Pięknie zachowany szkielet. Kości takie białe, jak gdyby specjalnie preparowane. A przecież leżały w ziemi przeszło piętnaście lat.

Pochylił się niżej.

- Tu, na czaszce - pokazał palcem doktor - wyraźnie widać ślady jakiegoś uderzenia. To było prawdopodobnie bezpośrednim powodem zgonu.

- Kula czy odłamek szrapnela? - zapytał major.

- Nie. Kula przebiłaby czaszkę na wylot i pozostawiła charakterystyczny okrągły otwór.

To raczej wygląda na uderzenie czymś ciężkim. Kości zostały złamane i wgniecione do środka.

- Pewnie stał na podwórzu, kiedy bomba trafiła w dom i coś spadło mu na głowę -

wtrącił sierżant - cegła albo choćby i kawałek szkła.

- Prędzej szkło niż cegła - zgodził się lekarz.

- Pracowałem przed trzema laty przy rozbiórce tych domów - rzucił jeden z robotników.

- Nie na tej posesji, ale na sąsiednich. Tu nigdzie nie było śladów bombardowania. Domy były w środku wypalone, ale nawet na tynkach zewnętrznych było bardzo mało dziur od obstrzału.

- Nie dojdziemy dzisiaj, jak to było - lekarz machnął ręką - przecież to już tyle lat.

Znowu pochylił się nad szkieletem.

- Ciekawe - zauważył - on chyba był kaleką. Nie miał palców u obu rąk. Szkielet jest cały, bez żadnych śladów uszkodzeń, ale brakuje wszystkich palców.

- Może leżą gdzieś obok w gruzie? - podsunął sierżant.

- Proszę, przeszukajcie - zadysponował major.

Paru ludzi ostrożnie przebierało rękoma gruz w miejscu, gdzie powinny znajdować się palce szkieletu. Nie znaleziono ani jednej kosteczki. Następnie robotnicy, na polecenie oficera milicji, jeszcze raz przesiali na łopatach całą ziemię, jaką odrzucili na boki przy rozkopywaniu grobu. I to nie dało żadnych wyników. Szkielet nie miał palców.

Lekarz dokładniej przyjrzał się kościom.

- Nie dostrzegam żadnych charakterystycznych zmian, jakie mogłyby powstać w rękach człowieka pozbawionego palców. Widocznie stracił je niedługo przed śmiercią.

- Pochowano go nagiego - stwierdził major.
- Nagiego? - zdziwił się doktor Kamiński.
- Brakuje nie tylko kosteczek palców, ale także jakichkolwiek resztek odzieży.
- Przez piętnaście lat zdążyły zgnić.
- Może materiał ubrania i bielizna - zgodził się major - ale guziki czy metalowe sprzączki musiałyby przetrwać.
- Może coś jest pod szkieletem - zastanawiał się sierżant.
- Zbadamy - zgodził się lekarz - dajcie nosze.
- Nie - zaproponował major Krzyżewski - najpierw zdjęcie.

Fotograf milicyjny dokonał kilku zdjęć. Całości grobu i tych fragmentów szkieletu, na których wyraźnie widać było, że ręce nie mają palców. Następnie dwaj milicjanci przynieśli nosze. Doktor Kamiński ostrożnie przeniósł na nie ludzkie szczątki. Z kolei zaczęto przeszukiwać płytkie zagłębienie, które było miejscem dotychczasowego spoczynku zagadkowego zmarłego. Hipoteza oficera milicji potwierdziła się. Nie odkryto najmniejszego kawałka materiału, ani jednego guzika czy też sprzączki lub haftki. Natomiast wykopano jeszcze kilka strzępków gazet, do tego stopnia zniszczonych, że nie można było stwierdzić, czy wydrukowano je po polsku, czy po niemiecku. Te strzępki major schował razem z uprzednio znalezionymi do koperty, którą miał w teczce.

- No - powiedział lekarz powstając i otrzepując gruz ze spodni - nic tu po nas. Nie znajdziemy niczego więcej. Trzeba spisać protokół, a szkielet przekazać władzom miejskim, żeby go pochowały.
- Nie - sprzeciwił się major - niech radiowóz przewiezie te kości do mojej dyspozycji.
- Major chce w gabinecie ustawić szkielet, żeby straszyć przesłuchiwanym? Świetny kawał! - roześmiał się lekarz. - Najbardziej zatwardziały przestępca załamie się i będzie śpiewał jak z nut, kiedy pan skonfrontuje go z takim kostusiem.

Milicjanci zabrali nosze, major i lekarz skierowali się do swojej warszawy.

- Uczciwie zarobiłem dzisiaj na lody - stwierdził lekarz - mowy nie ma, żeby ustąpił.

Myślałem, że tu, na dworze, w pobliżu rzeki, jest chłodniej. Ale diabła tam. Koszulę mógłbym z potu wyzwać po tej gimnastyce. Major płaci za lody.

- Optymista! Jeżeli tylko dostaniemy w ten upał. U nas lody są tylko wtedy, kiedy pada deszcz.
- Nie będzie tak źle. W „Stylowej” mam trochę chodów. Jeżeli nie lody, to coś zimnego z lodu na pewno dostaniemy.

- Niepoprawny optymista - powtórzył major, wzruszając ramionami.

Wysiedli na Świdnickiej, a wóz odesłali do komendy. Weszli do popularnej wrocławskiej kawiarni. Szczęśliwym trafem udało im się zdobyć stolik, który właśnie zwalniało jakieś towarzystwo - znajomi lekarza. O lodach rzeczywiście nie było nawet mowy, ale doktor zdołał jakoś oczarować kelnerkę i przyniosła im dwie butelki chłodnego soku.

- Co naprawdę major chce zrobić z tym szkieletem? - zapytał lekarz ugasiwszy pierwsze pragnienie.

- To wszystko trochę dziwnie wygląda. Sam pan mówił, że szkielet jest jak na swój wiek doskonale zakonserwowany. A jednocześnie ten brak palców u rąk. Żadnych szczątków odzieży. W bezpośrednim pobliżu resztki jakichś papierów. Najprawdopodobniej gazet, ale nie niemieckich, lecz znacznie późniejszych, polskich. Czy to nie zastanawiające? Odzież zgniła całkowicie, tak że najmniejszy guziczek nie pozostał, a mniej trwały papier zachował

się względnie dobrze. Może to wcale nie jest szkielet Niemca, który zginął w czasie oblężenia Wrocławia? Może te kości pochodzą z dużo późniejszego okresu? Mało to ludzi ginie bez wieści? Kto wie, czy nie odnaleźliśmy właśnie takiego, jednego z nich?

- Ee - skrzywił się lekarz - wy, milicjanci, wszędzie węcycie zbrodnię.

- Trudno - roześmiał się oficer - od tego jest milicja, żeby wszędzie i zawsze miała wątpliwości. A sam pan przyzna, doktorze, że sprawa nie wygląda zupełnie pewnie.

Podpisałby pan świadectwo, że te kości należą do osoby, która zginęła przed piętnastu laty?

- Teraz, kiedy major mnie tak skołował, rzeczywiście wahałbym się wystawić takie świadectwo.

- A widzi pan, doktorze. Niech więc i ode mnie pan nie wymaga, żebym działał zbyt lekkomyślnie.

- Chce pan posłać szkielet do Zakładu Kryminalistyki dla przeprowadzenia odpowiednich badań?

- Tak. Niech się wypowiedzą. To chyba możliwe do stwierdzenia, jak długo kości przebywały w ziemi.

- Możliwe to jest, ale wcale nie takie proste. Nawet jeżeli coś stwierdzą, to w każdym razie z dużym marginesem czasu.

- Jakim?

- Przyślą panu, na przykład, odpowiedź, że kości leżały w ziemi dziesięć do piętnastu lat. Mając takie świadectwo, będzie pan równie mądry, jak w tej chwili.

- Zgoda - odpowiedział oficer - przy tego rodzaju dowodzie uznam, że to szczątki jednej z ofiar wojny. Ale może być i inna odpowiedź, która mimo marginesu czasu będzie miała dla mnie poważne znaczenie.

- Ciekaw jestem?

- Na przykład, że kości przeleżały w gruzie pięć do dziesięciu lat. A wtedy nie byłaby to ofiara wojny, tylko ofiara zbrodni. W każdym razie chcę mieć wynik badań. Bez tego nie mogę się zgodzić na protokół zamykający całą sprawę.

- Ma pan rację - przyznał lekarz.

ROZDZIAŁ III

Ciepłe, wilgotne miejsce

- Dobrze nas zeklną w Zakładzie Kryminalistyki - roześmiał się doktor Stanisław Kamiński kończąc obwiązywanie dużej, długiej paczki, owiniętej w szary papier.

- Dlaczego? - zapytał major Adam Krzyżewski.

- Major postawił przed nimi trudne zadanie.

- Dadzą sobie radę. Nie takie zagadki rozwiązywali. Przypominam sobie jedną sprawę, bodaj że zdarzyła się w Łodzi, Zginęło dziecko. Chłopak miał około dwunastu lat. Po długim dochodzeniu milicja uznała, że najbardziej podejrzany jest pewien mieszkaniec miasta, a mord ma prawdopodobnie podłoże seksualne. Jednakże nie dysponowano najmniejszym dowodem. Szczegółowa rewizja, przeprowadzona w mieszkaniu domniemanego mordercy, niczego nie wykryła. Jedynie w piecu kaflowym znajdowały się resztki popiołu. Przesłano ten popiół do analizy, do Warszawy. Tam nie tylko stwierdzono, że popiół jest pochodzenia organicznego, ale również, że to popiół ze spalenia zwłok ludzkich. Po drobnych resztkach kości szczątkowych zdołano zidentyfikować, że spalone zwłoki były właśnie ciałem poszukiwanego dziecka. Po przedstawieniu tych dowodów morderca musiał przyznać się do winy.

- Mimo to, majorze, są to sprawy niesłychanie trudne. Wiem coś o tym. A przecież ekspertyza musi dać odpowiedź na cały szereg innych pytań.

- Niech tylko odpowiedzą na najbardziej zasadnicze: jak długo szkielet leżał w ziemi?

Jaki jest wiek tego człowieka? Jego wzrost i waga? Czy urazy czaszki powstały jeszcze za życia tego człowieka i były powodem jego zgonu, czy też są to uszkodzenia późniejsze?

Dlaczego szkielet nie ma palców?

- Bagatela - ironizował lekarz - parę małych pytanek. Kilku ludzi będzie miało robotę na wiele dni, zanim zdoła odpowiedzieć choć na część tej litanii.

Nazajutrz jeden z milicjantów Komendy Wojewódzkiej we Wrocławiu zawiózł paczkę do Warszawy, do Zakładu Kryminalistyki. Jako załącznik do przesyłki milicjant doręczył w Alejach Ujazdowskich postanowienie o zarządzeniu wykonania ekspertyzy, które zawierało wszystkie pytania majora Krzyżewskiego.

Doktor Kamiński miał rację. Przesyłka bynajmniej nie wzbudziła entuzjazmu lekarzy zatrudnionych w Zakładzie.

- Szkoda, że Wrocław nie zapytał jeszcze o imię i nazwisko panięskie żony tego kostusia oraz o liczbę jego rodzeństwa - zauważył jeden z pracowników, zapoznawszy się z epistołą majora.

Sprawą najłatwiejszą do ustalenia był wzrost człowieka, którego szkielet leżał teraz na jednym ze stołów Zakładu. Pomiary antropologiczne ras ludzkich prowadzone są już od bardzo dawna. Nauka rozporządza całym szeregiem tablic, które na podstawie długości poszczególnych kości pozwalają obliczyć wzrost człowieka z dokładnością do paru centymetrów. Oczywiście w każdym kraju te tablice różnią się nieco, trzeba bowiem przyjmować poprawki na charakterystyczne cechy budowy danej rasy czy nawet danego narodu. I tak na przykład narody słowiańskie w porównaniu ze Skandynawami są raczej krótkonogie. Istnieją także różnice między przeciętnym Polakiem, Rosjaninem i Czechem.

Zakład Kryminalistyki posiada opracowaną przez siebie tabelę, która uwzględnia wszelkie właściwości mieszkańców Polski. Badanie kości według tej tabeli daje odpowiedź z dokładnością do 3-5 centymetrów.

Po dokonaniu wszystkich pomiarów i zweryfikowaniu ich według tablic, na liście pytań majora Krzyżewskiego skreślono jedną pozycję: ten człowiek miał niegdyś około stu siedemdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu.

- A ile ważył?

- Na to również znaleziono odpowiedź porównując różne fragmenty szkieletu.

Mężczyzna był szczupłej budowy. Na pewno jego waga była niższa od przeciętnej dla tego wzrostu. A więc poniżej siedemdziesięciu kilogramów.

Te dwie sprawy były zresztą stosunkowo najłatwiejsze do rozwiązania. Znacznie trudniejszym problemem było udzielenie odpowiedzi na zasadnicze pytanie: jak długo zwłoki leżały w mogile odnalezionej przy ulicy Kiełbańskiej?

Zachowała się ogromna większość wiązań stawowych. Szkielet nie był stosem kości, lecz stanowił połączoną całość. Znaleziono go w łatwo przesiąkliwym gruzie, zaledwie niecałe trzydzieści centymetrów pod powierzchnią ziemi. W tych warunkach łatwego dostępu wody i powietrza proces rozpadu postępuje szybko. Nie mogło więc być mowy, żeby kości przeleżały w prowizorycznym grobie aż od wojny, to jest ponad piętnaście lat. To było wykluczone.

Ale lekarze Zakładu Kryminalistyki doskonale zdawali sobie sprawę, że taka ogólnikowa odpowiedź nie posunie naprzód śledztwa, mającego ustalić, kim był ten człowiek i gdzie szukać sprawców jego śmierci. Trzeba określić możliwie jak najdokładniej czas, dzielący dzień śmierci od chwili odkrycia szkieletu. W ten sposób znakomicie zawęzi się dochodzenie i ułatwi wykrycie tożsamości zmarłego.

Kości ludzkie, tak jak zresztą w ogóle, wszystkie kości kręgowców, zawierają między innymi i

tłuszcz. Tłuszcz jest również składnikiem szpiku znajdującego się wewnątrz kości w jamach szpikowych. Im dłużej kość jest martwa i im dłużej znajduje się w ziemi, tym więcej tłuszczu zarówno z tkanki kostnej, jak i ze szpiku wydostaje się na zewnątrz. Kość staje się wtedy bardziej „chuda”. Kości, które są martwe przez stosunkowo niedługi czas, fachowcy określają popularnie jako „kości ciężkie”. Im więcej czasu upłynie od momentu zgonu, tym lżejsza jest kość.

Jest kilka sposobów badania kości na zawartość tłuszczu. Oczywiście przy ekspertyzach wykonuje się te wszystkie próby i dopiero na podstawie pełnych wyników wysuwa się odpowiednie wnioski. Wskaźnikami są tu analizy popiołu kostnego, obliczanie ciężaru gatunkowego badanej kości, jak również próba na miażdżenie i łamanie kości.

Tu także z pomocą przychodzą dokładnie opracowane tabele. Mając wyniki badań, odczytuje się na tabeli wiek kości, której zawartość tłuszczu odpowiada określonym wskaźnikom.

Jednakże badania te nigdy nie mogą dać precyzyjnej odpowiedzi. Zawsze istnieje duży margines czasu, gdyż rozkład ciała i postępujące jednocześnie wysychanie kości z zawartości tłuszczu zależy zarówno od warunków atmosferycznych i glebowych miejsca złożenia ciała, jak też i właściwości fizycznych danego organizmu.

Pomimo tych zastrzeżeń metody używane przez Zakład Kryminalistyki pozwalają na określenie daty zgonu człowieka, którego kości poddawane są takim wszechstronnym badaniom. Wspomniany już „margines czasu” prawie nigdy nie przekracza trzech lat, a zazwyczaj jest jeszcze mniejszy.

W przypadku naszego „szkieletu bez palców” badacze Zakładu uznali, że człowiek ten zmarł najwcześniej cztery lata przed odnalezieniem jego grobu, a najpóźniej przed dwoma laty. Ponieważ mogiłę przy ulicy Kiełbaśniczej odkryto pod koniec lipca 1960 roku, człowiek w niej pochowany zmarł między 1956 a 1958 rokiem.

Lekarze badający szkielet doszli również do wniosku, że całkowity rozkład części miękkich ciała ludzkiego nastąpił wyjątkowo szybko. Świadczyłoby to, że zwłoki znajdowały się w optymalnych warunkach dla tego rodzaju procesów, a więc były pochowane w wilgotnym i ciepłym miejscu. Gdyby te optymalne warunki nie były zachowane, szkielet nie byłby taki „czysty”. Można było nawet wysnuć dodatkowe przypuszczenie, że człowiek ten był pochowany w wilgotnym i ciepłym miejscu całkowicie nagi. Odzież powstrzymałaby bowiem choć w części szybkość procesu rozkładu. To spostrzeżenie pracowników Zakładu pokrywało się całkowicie z faktami. Przecież w mogile nie znaleziono najmniejszych śladów resztek odzieży.

W tego rodzaju ekspertyzach najtrudniejszy jest zawsze do ustalenia wiek. Kości ludzkie przechodzą trzy etapy, ściśle zresztą związane z życiem i rozwojem człowieka.

Pierwszy etap, który u mężczyzny trwa od okresu embrionalnego do mniej więcej dwudziestego piątego roku życia, to lata rozwoju i rozrostu szkieletu. Drugi etap - to czas zastoju. W szkielecie nie zachodzą wówczas żadne zmiany. Ten okres to lata od dwudziestego piątego do mniej więcej sześćdziesiątego roku życia. Wreszcie ostatni etap powolnej degeneracji szkieletu. Zaczyna się on po sześćdziesiątce i trwa niepowstrzymanie aż do zgonu.

Badając więc kości ludzkie stosunkowo łatwo jest odpowiedzieć, czy mamy do czynienia z chłopcem do dwudziestu pięciu lat, czy też z dorosłym mężczyzną lub ze starcem.

Natomiast ustalenie ściślejszych granic wieku człowieka wyłącznie na podstawie badania jego kości należy do prac niesłychanie żmudnych.

A jednak i to zadanie zostało rozwiązane.

Do tych celów Zakład Kryminalistyki posiada specjalny mikroskop. Pod aparatem bada się szkliwo kostne w warunkach polaryzacji świetlnej z jednoczesnym poddawaniem szkliwa wpływowi promieni infraczerwonych.

Badając pod takim mikroskopem szkliwo kostne łatwo zauważyć, że powierzchnia masy kostnej składa się jak gdyby z czegoś w rodzaju kolistych blaszek. Są to tak zwane „osteony”.

Ten silny mikroskop ukazuje wyraźnie w środku osteonów maluteńkie otwory, zwane „kanałami Haversa”, w których leżą naczynia krwionośne, limfatyczne i włókna nerwowe.

Przeciętna średnica kanałów Haversa jest w danym szkielecie jednakowa.

Zauważono natomiast, że im człowiek starszy, tym kanały Haversa są większe. Kiedy u małego dziecka średnica kanałów dochodzi zaledwie do 20 mikronów (mikron - tysięczna część milimetra), to u człowieka liczącego sobie ponad sześćdziesiątkę kanały Haversa mają średnicę około 70 mikronów. Drogą bardzo precyzyjnych pomiarów można ustalić średnią kanałów danej kości i według tego z dość dużą dokładnością określić wiek, w jakim nastąpił

zgon.

Te wszystkie skomplikowane pomiary przyniosły w rezultacie stwierdzenie, że osobnik, którego szkielet badano, był mężczyzną po trzydziestce, a nie zaczął jeszcze czterdziestki. Ale na to, żeby uzyskać te wiadomości, naukowiec prowadzący badania musiał poświęcić przeszło tydzień pracy.

Ślady na czaszce również poddano dokładnym oględzinom. Tu jednak nie udało się odpowiedzieć na pytanie majora Krzyżewskiego, czy uderzenie zadano jeszcze za życia człowieka, którego szkielet znaleźli robotnicy przy ulicy Kiełbaśniczej. Tego rodzaju pytanie przekraczało możliwości nauki. Można było jedynie ustalić, że uszkodzenia powstały albo za życia, albo niedługo po zgonie. Charakter uderzeń pozwalał na stwierdzenie, że zadano je jakimś ostrym narzędziem, najprawdopodobniej siekierą. Jeśli ofiara otrzymała je jeszcze za życia, były najprawdopodobniej przyczyną jej zgonu.

Przy dokładnym oglądaniu poszczególnych kości szkieletu odnaleziono takie same ślady na kości ramiennej. Szczegółowe badanie uszkodzeń pozwoliło stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, że zadane były tym samym narzędziem.

Pracownicy Zakładu Kryminalistyki starali się także rozwiązać zagadkę braku kości palców. Żadne badania nie potwierdziły hipotezy, jakoby zmarły był kaleką, człowiekiem bez palców obu rąk. Nic

też nie wskazywało, żeby te palce stracił jeszcze za życia w jakiś gwałtowny sposób. Nie było tam żadnych śladów uderzeń.

Wytłumaczenie tego faktu mogło być tylko jedno: ponieważ ciało zmarłego przebywało w optymalnych warunkach, sprzyjających bardzo szybkiemu rozkładowi, objął on również i wiązania stawowe palców. Te wiązania są stosunkowo niewielkie i mogły ulec procesom utleniania szybciej niż wiązania stawowe innych, większych kości. Małe kosteczki palców mogły w tych „optymalnych warunkach” szybciej spróchnieć, stracić kolor i dlatego nie zauważono ich szczątków w czasie odkrywania grobu.

Naturalnie to była tylko hipoteza, ale hipoteza mająca wszelkie znamiona prawdy.

Tylko ona tłumaczyła, dlaczego sprawa występowała w komendzie wrocławskiej pod kryptonimem „szkielet bez palców”.

Do faktu, że kości są białe, co przede wszystkim każdemu rzucało się w oczy, naukowcy w Zakładzie nie przywiązywali większej wagi. Regułą jest, że im dłużej kość leży w ziemi, tym bardziej żółknie i ciemnieje. Ale na tej obserwacji nie można opierać poważnych badań. Kolor kości zależy od wielu okoliczności i może być nawet indywidualną cechą człowieka.

Inne pomiary i oględziny szkieletu nie dały wskazówek co do jakichkolwiek cech szczególnych zmarłego. Nie stwierdzono, żeby ten człowiek złamał sobie kiedyś rękę lub nogę. Taki szczegół mógłby być bardzo ważny przy późniejszym ustalaniu tożsamości denata.

Często bowiem poważną wskazówką pozwalającą na ustalenie tożsamości zmarłego są szczęki, zęby i ślady pracy dentystów: plomby, koronki, mostki itd. Przecież zwęglone zwłoki Hitlera zidentyfikowano na podstawie charakterystycznych plomb w jego zębach.

W tym wypadku żadnych tego rodzaju wskazówek nie znaleziono. Nie stwierdzono też jakichś większych odchyśleń od normy w budowie kręgosłupa. Najprawdopodobniej zmarły był człowiekiem nie wyróżniającym się specjalną figurą ani postawą od otoczenia, takich jak on są miliony w naszym kraju. Reasumując ekspertyza stwierdziła:

Kości, które były przedmiotem badań, są szkieletem mężczyzny.

Wiek denata należy określić na 30-40 lat. Jego wzrost na około 175 cm.

Budowy raczej wątłej, waga poniżej 70 kg.

Nic nie wskazuje na to, że człowiek ten był kaleką i nie posiadał palców u obu rąk.

Ślady uderzeń na czaszce i kości ramiennej zadano ostrym narzędziem,

najprawdopodobniej siekierą. Ciosy w głowę, jeśli zadano je za życia, były najprawdopodobniej przyczyną zgonu.

Zgon mężczyzny, którego szkielet badano, nastąpił 2-4 lata temu.

Żadnych cech szczególnych nie udało się ustalić na podstawie badania szkieletu.

Zwłoki musiały przebywać w wilgotnym, ciepłym miejscu, co spowodowało bardzo szybki rozkład wszystkich części miękkich.

Z takim świadectwem „szkielet bez palców” powędrował z powrotem do Wrocławia.

Major Adam Krzyżewski, zapoznawszy się z wynikami ekspertyzy, tylko pokiwał głową. I tym razem nie zawiódł go instynkt zawodowy. Denat nie był więc Niemcem, który zginął w czasie wojny. W jaki sposób jednak na podstawie tak szczupłych danych ustalić, kim był za życia człowiek pochowany w prowizorycznym grobie przy ulicy Kiełbaśniczej, pod stertą gruzu? Jak umarł?

Jeden niewielki papierek z Zakładu Medycyny Sądowej zamienił prostą, szablonową sprawę w skomplikowany problem.

ROZDZIAŁ IV

„Wyszedł z domu i nie wrócił”

„Uwaga, uwaga! Podajemy ważny komunikat. Jan Kamiński, zamieszkały w Warszawie przy ulicy Żłotej 258, urodzony 17 marca 1923 roku, w dniu 5 kwietnia 1967 roku wyszedł z domu i nie wrócił. Zaginiony ubrany był... Wszyscy, którzy mogliby udzielić jakichkolwiek informacji o zaginionym Janie Kamińskim, proszeni są o zgłoszenie się do Komendy Głównej MO w Warszawie, pokój 385, lub do najbliższego posterunku MO. Uwaga, uwaga, powtarzamy komunikat...”

Nie ma chyba tygodnia, żebyśmy w radio lub w telewizji czy też w dziennikach nie napotkali podobnych wiadomości o ludziach, którzy pewnego dnia wyszli z domu i już nie powrócili. Szuka ich potem milicja na terenie całego kraju, szuka ich nieraz i za granicą.

Komenda Główna MO prowadzi nawet specjalny referat ludzi zaginionych. Poszukiwania ciągną się czasami całe lata. Ogromną większość tych „uciekinierów” udaje się w końcu odnaleźć: żywych lub umarłych. Ale są i tacy, którzy opuścili swój dom i swoich bliskich i wszelki słuch, o nich zaginął.

Ucieczka od otoczenia, ucieczka od cywilizacji czy też dyskretna ucieczka w ogóle od życia występuje u nas rzadziej niż w innych krajach Europy, a już znacznie rzadziej niż na przykład w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, gdzie sprawy te urosły do problemu społecznego. Co roku ginie bez wieści siedemdziesiąt tysięcy obywateli USA. Z tej ogromnej liczby zaledwie nieco więcej niż połowę udaje się policji odnaleźć. Zresztą w tych sprawach policje wszystkich państw mają duże trudności. Przecież każdemu wolno opuścić swój dom i próbować szczęścia gdzie indziej. Dlatego też normalne drogi - listy gończe i komunikaty -

mogą być stosowane jedynie wyjątkowo, tam gdzie istnieje obawa, że zaginiony padł ofiarą zbrodni, albo gdy jest małoletnim lub psychicznie chorym.

Na ogromnych przestrzeniach Stanów Zjednoczonych ginie jak kamień w wodę ponad dwadzieścia tysięcy osób. Ginie, aby nigdy się nie odnaleźć.

Jakkolwiek w Polsce zjawisko to nie ma masowego charakteru, to przecież codziennie ponad dziesięciu ludzi wychodzi z domu i nie wraca. Wykrywalność tych ucieczek jest u nas bardzo duża, sięga prawie 95 procent.

Ale i u nas co roku po kilkuset osobach ginie wszelki ślad, i nasze statystyki notują pozycje „nie odnaleziony mimo poszukiwań”. Niekiedy znajduje się poszukiwanych dopiero po kilkunastu latach. W latach 1946-1947 w spisach KG MO takie adnotacje widnieją przy nazwiskach ponad ośmiuset osób. Wyszli z domu i nigdy doń nie powrócili. Nie wiadomo, co się z nimi stało. Czy w ogóle żyją?

Może więc jednym z tych ośmiuset jest i ten człowiek, którego szkielet znaleziono pod gruzami przy ulicy Kiełbaśniczej we Wrocławiu?

Trzeba tu jeszcze wyjaśnić, że w nomenklaturze milicji „zaginiony” jest tylko ten człowiek, który postanowił zniknąć z oczu swoich bliźnich, nie będąc w żadnej kolizji z prawem. To jest ta zasadnicza różnica między „zaginionym” a „zbiegiem”. Zbieg ukrywa się przed wymiarem sprawiedliwości, poszukuje się go listami gończymi.

Ludzi, którzy opuszczają swój dom, można w zasadzie podzielić na cztery grupy.

Pierwszą, najliczniejszą stanowi młodzież, głównie chłopcy. Uciekają od rodziców, bo w szkole złapali parę dwój lub grozi im pozostanie na drugi rok w tej samej klasie. Znikają z domu, bo właśnie obejrzelikiekawą audycję telewizyjną i pragną naśladować jej bohatera lub rozczytali się w książkach podróźniczych i postanowili sami zostać wielkimi odkrywccami nowych kontynentów lub nieznanych wysp. A więc ściągają się Ojcu lub matce kilka złotych, zabiera ukradkiem zmianę bielizny i hajda w drogę!

Ulubionym sezonem tych młodzieżowych ucieczek jest koniec roku szkolnego.

Słoneczko tak pięknie świeci, na dworze tak zielono, a tu trzeba siedzieć na szkolnej ławie i w dodatku uczyć się do zadanej a trudnej lekcji. Podróżników łapie się w wielkich miastach, śpiących w parkach na ławkach lub wysiadujących w poczekalniach dworcowych. Zna te sylwetki i milicja naszych portów. Niejednego już ujęto, kiedy usiłować wśliznąć się na zakotwiczony przy nabrzeżu statek. Młodzież odstawia się ciupasem do domu, gdzie uszczęśliwieni rodzice szybko przebaczą drobne szkolne grzechy.

W tej grupie młodzieżowych poszukiwaczy przygód ogromną większość stanowią chłopcy. Na dziesięciu uciekinierów przypada zaledwie jedna dziewczynka.

Za to następna grupa - młodzież od 17 do 20 lat - to przede wszystkim dziewczęta.

Powody ich ucieczek są prawie zawsze jednoznaczne: przygoda miłosna, wyjazd z ukochanym lub, co gorsza, ucieczka z powodu ciąży, o której rodzice nie wiedzieli. Te młode zakochane dziewczęta milicja odnajduje najczęściej w różnych modnych uzdrowiskach.

Nieraz w rękach sprytnych sutenerów. Są to z reguły dziewczęta już pełnoletnie i czasem dużo zachodu kosztuje milicję, aby namówić je do powrotu do domu. Pełnoletniego, wbrew jego woli, nie

można odstawić do rodziny pod przymusem.

Osobną grupę stanowią ludzie starzy, dotknięci sklerozą i ludzie chorzy psychicznie.

Nie zdają sobie sprawy z tego, co robią i w jakim kierunku idą.

Wreszcie ostatnia grupa - to ludzie dorośli, nierzadko na stanowiskach, którzy nagle znikają rzekomo bez żadnej przyczyny. Powód istnieje zawsze, chociaż nie wie o nim często nawet najbliższa rodzina. Są to jakieś nieporozumienia domowe albo zmęczenie psychiczne, zbyt długi stan napięcia nerwów, nieraz suma różnych drobnych zawodów życiowych, z których jeden, czasem zupełnie błaży, jest tą przysłowiową kroplą w pełnym dzbanie.

Jednym z takich tajemniczych, zupełnie niewytłumaczonych zniknięć jest historia żony pewnego urzędnika jednego z ministerstw. Pani ta wyszła po obiedzie z domu, aby kupić popołudniową gazetę. Nie wzięła płaszcza ani torebki. Miała w ręku jedynie złotówkę.

Mieszkała w centrum Warszawy. Bardzo dokładny wywiad milicyjny nie tylko nie natrafił na najmniejszy ślad zaginionej, ale nawet nie ustalił choćby cienia powodów jej ucieczki.

Ludzie z tej grupy „uciekierów” albo wracają po paru miesiącach, albo dają jakiś znak życia - list bądź pocztówkę do krewnych, żądanie wymeldowania nadesłane do biura ewidencji ludności, nawiązanie kontaktu ze znajomymi. Najczęściej zmieniają otoczenie, zawód - z pracowników umysłowych przekwalifikowują się na robotników fizycznych. Ale też w tej grupie ludzi najczęstszym celem zniknięcia jest chęć popełnienia dyskretnego samobójstwa. Takiego, aby o tym nie wiedzieli ani najbliżsi, ani znajomi i aby ciała nigdy nie odnaleziono. Tacy samobójcy potrafią pojechać na drugi koniec kraju i tam, po poprzednim zniszczeniu dokumentów i wszystkich rzeczy, mogących przyczynić się do ich identyfikacji, pozbawiają się życia w jakimś odludnym miejscu.

Ale major Krzyżewski nie miał najmniejszych wątpliwości, że człowiek, którego szkielet znaleziono pod gruzami, nie był samobójcą. Żaden samobójca nie zakopie się w taki sposób ani też nie potrafi pozbyć się w tajemniczy sposób wszystkich palców u obu rąk. To było morderstwo. Wśród wychodzących z domu na zawsze - trafiają się również ofiary zbrodni.

Technika poszukiwań ludzi zaginionych jest opracowana ze wszelkimi szczegółami.

Dzieci i umysłowo chorych szuka się natychmiast po wpłynięciu meldunków. Innych zaczyna się szukać dopiero po czterdziestu ośmiu godzinach od momentu zaginięcia. Zdarza się bowiem, że po prostu ktoś gdzieś się „zaszwenda” i nie ma sensu wcześniejsze wszczynanie alarmu.

Najpierw zaginionego poszukuje milicja z terenu jego zamieszkania. Kiedy poszukiwania w najbliższym rejonie nie dają rezultatu, do akcji włącza się Komenda Główna MO. Ona zawiadamia o fakcie zaginięcia wszystkie jednostki milicyjne w całym kraju. A ponieważ jednocześnie do KG MO napływają meldunki o zatrzymaniu różnych ludzi, o wszystkich wypadkach drogowych, o znalezieniu nie zidentyfikowanych zwłok, na Ksawerowie sprawdza się dane, porównuje meldunki i nierzadko właśnie tutaj trafia się na pierwsze ślady zaginionego.

Nieletnich i psychicznie chorych szuka się za pomocą prasy, radia i telewizji. Takie same komunikaty ogłasza prokurator, jeśli istnieje podejrzenie zbrodni. Rzecz charakterystyczna: ludzie, których bliscy nagle giną, najczęściej są skłonni przypisać to skutkom jakiegoś przestępstwa.

W pewnym sensie odwrotnością prac referatu zaginionych w Komendzie Głównej MO

jest właśnie identyfikacja wszystkich zwłok, znajdujących na terenie całego kraju, jeżeli tej tożsamości nie zdołały stwierdzić miejscowe jednostki milicji. Wzrost, wagę, budowę ciała, ubranie porównuje się z danymi w kartotekach zaginionych. Często dopiero w ten sposób ustala się tragiczne losy tych ludzi, którzy pewnego dnia wyszli z domu by nigdy tam nie powrócić.

Gdy już ostatecznie wyjaśni się tajemnicę zaginionego, trzeba z kolei odpowiedzieć na zasadnicze pytanie: samobójstwo czy zbrodnia? Jakże często rozwiązani tego problemu trafia na ogromne trudności.

Jeśli milicja podejrzewa zbrodnię, puszcza się w ruch całą skomplikowaną machinę śledztwa. Z drobnych poszlak wiąże się mocną sieć, w którą w końcu wpada morderca, i to niejednokrotnie po wielu, wielu latach od chwili popełnieniu przestępstwa. Nie ma bowiem przestępstw doskonałych, są jedynie chwilowo nie wykryte.

Takim właśnie przestępstwem czekającym na wyjaśnienie była zbrodnia przy ulicy Kielbaśniczej. Kto i dlaczego zamordował człowieka, z którego pozostał szkielet bez palców?

Przed poszukiwaniem mordercy trzeba było jednak rozwiązać zagadkę, kim był ten człowiek, sprawdzić, czy jego nazwisko figuruje na długiej liście osób zaginionych.

ROZDZIAŁ V

Poszukiwania igły w stogu siana

Jeden papierek z podpisem fachowców od medycyny sądowej od razu obalił wszystkie wygodne hipotezy, że garstka kości znalezionych pod gruzami domu przy ulicy Kielbaśniczej może pochodzić z czasów wojny. Obawy i wątpliwości majora Krzyżewskiego potwierdziły się w całej pełni. Ale to bynajmniej nie posunęło sprawy naprzód. Przeciwnie, dopiero teraz milicja miała dokonać najtrudniejszego zadania - odnaleźć ślady po człowieku, który niegdyś żył i działał, a dzisiaj pozostał po nim jedynie biały szkielet.

Kim był zmarły? Kiedy i w jaki sposób zginął? Czy został zamordowany? Kto go zamordował? Dlaczego wszystko, co pozostało po tym człowieku - garstkę kości - znaleziono w prowizorycznym grobie pod hałdą gruzu przy ulicy Kielbaśniczej?

Orzeczenie Zakładu Kryminalistyki mówiące o tym, że zwłoki musiały przebywać przez pewien czas w „ciepłym, wilgotnym miejscu”, wcale nie odpowiadało warunkom, w jakich robotnicy znaleźli szkielet, prowadząc odgruzowanie posesji oznaczonej numerem dwudziestym dziewięć.

Dlaczego szkielet pozbawiony był palców?

Major Krzyżewski, któremu powierzono dalsze dochodzenie milicyjne w tej sprawie, nie umiał odpowiedzieć na żadne z tych pytań. A przecież tylko bezbłędne rozwiązanie wszystkich zagadek mogło doprowadzić do wykrycia mordercy i posadzenia go na ławie oskarżonych. Jeśli w ogóle istniał morderca.

Trzeba było wziąć się do ciężkiej i znużającej roboty. Orzeczenie biegłych z Zakładu Kryminalistyki mówiło, że „jest to szkielet człowieka zmarłego najwcześniej cztery lata temu, najpóźniej zaś przed dwoma laty”. Ponieważ grób odkryto w lipcu 1960 roku, człowiek, którego kości odnaleziono, zmarł lub został zamordowany między 1956 a 1958 rokiem.

Margines czasu wynosi aż dwa lata. Trzeba zatem szukać tego człowieka pomiędzy tymi setkami czy też tysiącami ludzi, którzy w tym czasie „wyszli z domu i nie wrócili”. Może nawet trzeba się nieco cofnąć i poszukiwaniami objąć wszystkie tajemnicze zaginięcia sprzed 1956 roku? Może ktoś na przykład zaginął w 1955 czy 1954 roku czy też świadomie uciekł z domu, później ukrywał się, by wreszcie znaleźć śmierć przy ulicy Kiełbaśniczej w 1956 roku?

Na pierwszy ogień poszedł Wrocław i województwo wrocławskie. Ten teren był

najprostszy do sprawdzenia: Meldunki o zaginięciu osób z Dolnego Śląska i jego stolicy znajdowały się na miejscu, w Komendzie Wojewódzkiej MO. Można było również domniemywać, że płytką mogiła, wykopana w gruzie, zawiera zwłoki właśnie mieszkańca tego miasta.

Major Krzyżewski i kilku jego podwładnych zagłębili się w ogromną stertę materiałów.

Każdy wypadek, gdzie w dokumentach brakowało końcowej notatki o odnalezieniu zaginionego, był przez nich dokładnie badany. W aktach, jak to w aktach, nie zawsze i nie wszędzie panuje porządek. Sprawdzone więc dodatkowo, czy od momentu, kiedy sprawa trafiła do archiwum, nie nastąpiły jakieś zmiany nie uwidocznione w zapisach. W wielu przypadkach rzeczywiście tak było. Zaginiony zdążył się już ujawnić, chociaż w dokumentach brakowało o tym odpowiedniej wzmianki.

Niemniej wielu osób, które „wyszły z domu i nie wróciły”, dotychczas nie odnaleziono.

W każdej takiej sprawie akta, będące w posiadaniu milicji, zawierały zdjęcie fotograficzne człowieka poszukiwanego oraz jego możliwie dokładny rysopis: wiek, wagę, wzrost, rodzaj budowy ciała. Dane te trzeba było porównać z tymi, jakie udało się ustalić Zakładowi Kryminalistyki. Szkielet znaleziony w gruzach wskazywał na człowieka około stu siedemdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu, szczupłej budowy, liczącego trzydzieści do czterdziestu lat.

Te trzy założenia pozwoliły na wyeliminowanie wszystkich zaginięć, jakie zdarzyły się we Wrocławiu w ciągu ostatnich sześciu lat. Ginęli albo ludzie o wiele młodszy, przeważnie młodzież, którą pociągały przygody, albo też ludzie starsi. Niekiedy zgadzał się wiek, ale wzrost lub budowa ciała nie pasowały do sylwetki zaginionego.

Ale na Wrocławiu Polska nie zaczyna się ani nie kończy. Po zbadaniu materiałów miejscowych trzeba było przystąpić do jeszcze znużającego badania znacznie liczniejszych dokumentów Komendy Głównej MO, dotyczących ludzi, którzy „zginęli bez śladu”.

Ta ciężka i mało efektywna praca trwała kilka tygodni. W wyniku prowadzonych poszukiwań ustalono, że budową ciała i wiekiem odpowiada znanemu szkieletowi zaledwie czterech ludzi zaginionych bez wieści w latach 1955-1958. Dwóch z nich było umyślowo chorych.

Jednego, mieszkańca województwa olsztyńskiego, ostatni raz widziano, jak wypływał

łodzią na Jezioro Śniardwy, gdzie najprawdopodobniej utonął. Ponieważ nigdy nie znaleziono ani łodzi, ani zwłok, nadal w aktach milicji figurował jako „zaginiony”. Drugi podobny przypadek zaginięcia psychicznie chorego zdarzył się na Rzeszowszczyźnie. Opanowany manią samobójczą, kilka razy próbował on odebrać sobie życie. Może i popełnił w końcu samobójstwo, ale również nie potwierdzono tej tezy żadnym dowodem. W kartotece MO

pozostał więc jako „zaginiony”.

Dwa inne przypadki miały zupełnie odmienny charakter. Jedna z zaginionych osób popełniła przestępstwo gospodarcze i zbiegła. Tego mężczyzny poszukiwano nawet listami gończymi. Prawdopodobnie udało mu się przekroczyć granicę i schronić się przed wymiarem sprawiedliwości. Rodzina prawdopodobnie знаła dobrze losy „zaginionego”, chociaż uparcie twierdziła, że nic nie wie. Dlatego też nasz przestępca znajdował się ciągle na liście poszukiwanych.

Ostatni przypadek był bodaj najbardziej tajemniczy. Pewien mieszkaniec Łodzi wyszedł

z domu i więcej do niego nie powrócił. Powodem „zniknięcia” były stosunki rodzinne, których nie umiał lub nie chciał rozwiązać. Tu wchodziły w grę wszystkie możliwe warianty: samobójstwo tak zorganizowane, żeby ciała nie można było odnaleźć, ucieczka za granicę lub urządzenie sobie życia w innej stronie Polski za pomocą przyjaciół albo nawet sfałszowanych dokumentów.

Nie można było wykluczyć, że właśnie szkielet tego człowieka wykopany został przez robotników pracujących przy ulicy Kiełbaśniczej. Major Krzyżewski zajął się tym wypadkiem. Znowu do wszystkich placówek MO w całym kraju rozesłano komunikaty o zaginionym. Jego podobizna znalazła się na ekranach telewizorów i na łamach prasy codziennej. Jednocześnie wywiadowcy milicji przesłuchiwali rodzinę, przyjaciół i znajomych zaginionego. Jego brat, wzięty w krzyżowy ogień pytań, przyznał się, że dostał od uciekiniera kartkę z życzeniami na nowy rok 1959. Kartkę tę dokładnie zbadano. Treść była krótka i konwencjonalna. Zwykle życzenia „wszelkiej pomyślności w nadchodzącym Nowym Roku”.

Natomiast dwa fakty nie ulegały wątpliwości. Przede wszystkim data. Na kartce zachował się wyraźny stempel: 29.12.1958. Pocztówkę wrzucono do skrzynki w Gdyni, co oczywiście o niczym nie świadczyło. Jeśli chodzi o charakter pisma, to na podstawie porównań z próbkami pisma zaginionego, jakie znajdowały się w aktach milicyjnych, ekspertyza stwierdziła, że jest ono identyczne i że kartkę napisał bez wątplenia człowiek, który przed trzema laty wyszedł z domu i nigdy już do niego nie wrócił.

Major Krzyżewski uzyskał więc dowód, że zaginiony, gdziekolwiek przebywał, żył na pewno pod koniec 1958 roku. A wtedy szkielet znajdował się już w grobie przy ulicy Kiełbaśniczej. Margines czasu, jaki ustaliła ekspertyza, stwierdzał wyraźnie, że szkielet musiał przeleżeć w ziemi

przynajmniej dwa lata.

Pośredni dowód, że ekspertyza Zakładu Kryminalistyki jest słuszna, uzyskał major Krzyżewski badając skrawki papieru, odnalezione przez niego wśród gruzów przy rozkopywaniu tajemniczej mogiły. Na niektórych kawałkach gazet udało się odczytać ich tekst i to nawet bez specjalnych trudności. Inne, zbyt zniszczone, żeby można je było rozszyfrować tylko za pomocą oka i szkła powiększającego, zdradziły swoją tajemnicę w promieniach ultrafioletowych.

W ten sposób zdołano zorientować się, że skrawki gazet zawierają fragmenty zdarzeń z listopada 1957 roku. Wertując rocznik gazet wrocławskich „Słowa” i „Gazety Robotniczej”

nie tylko ustalono, że znalezione kawałki pochodzą właśnie z tych dwóch pism, ale nawet udało się dokładnie zweryfikować ich daty. Ponieważ szczątki tych gazet znajdowały się w warstwie gruzu zarówno pod szkieletem, jak i nad nim, można było z pewnym prawdopodobieństwem przyjąć, że zwłoki nieznanego człowieka umieszczono w grobie przy ulicy Kiełbańskiej właśnie w listopadzie 1957 roku.

Tu od razu majora Krzyżewskiego zastanowiła pewna sprzeczność. Gdyby przyjąć, że człowiek, którego kości odnaleziono, zmarł czy też został zamordowany w listopadzie 1957

roku i pochowany w ruinach domu przy ulicy Kiełbańskiej, to dlaczego nastąpił tak szybki rozkład ciała? Przecież ten grób pod hałdą gruzu wcale nie był „ciepłym, wilgotnym miejscem”. I co się stało z palcami szkieletu?

Udało się też ustalić jeszcze jedną ważną okoliczność. Oto spalone, ale jeszcze stojące domy przy ulicy Kiełbańskiej były właśnie we wrześniu i październiku 1957 roku rozbierane na cegłę. Roboty te prowadzono mniej więcej do połowy listopada tegoż roku. Następnie wywieziono cegłę nadającą się do budowy, całe zaś gruzowisko pozostawiono na miejscu. Od tego czasu aż do lata 1960 roku nic na tym terenie się nie działo.

Gazety znalezione w mogile miały datę zaledwie o tydzień późniejszą niż termin ukończenia robót. Wniosek stąd prosty. Ten, kto pochował przy ulicy Kiełbańskiej zwłoki nieznanego mężczyzny, dobrze wiedział, że wszelkie roboty rozbiórkowe ukończono przed tygodniem i że nie grozi odkrycie tajemnicy, jaką kryje posesja pod numerem dwudziestym dziewiątym. A więc najprawdopodobniej człowiekiem, który ukrył zwłoki, był jeden z robotników zatrudnionych przy rozbiórkach. Ale jak znaleźć tego człowieka, skoro nawet nie istnieje już przedsiębiorstwo, prowadzące rozbiórkę?

Na to pytanie major Krzyżewski na razie nie umiał odpowiedzieć.

W ogóle mimo wielotygodniowej, ciężkiej pracy kilku ludzi sprawa nie ruszyła naprzód ani o krok. Przeprowadzone badania wykazały, że nikt, podobny do człowieka, którego szkielet znaleziono, nie zaginał. A przecież makabryczne odkrycie robotników budowlanych było faktem.

Nikt nie zaginał, nikogo nie zamordowano, a jednak znaleziono grób ze szkieletem bez palców. Jak wytłumaczyć tę pozorną sprzeczność?

To, co było sprzecznością dla laika, dla milicji stanowiło wskazówkę, w jakich środowiskach należy szukać śladów.

Są bowiem ludzie, którzy nie mają zwyczaju zwracania się do milicji ze swoimi kłopotami, ponieważ nie uważają się za związanych ogólnie przyjętymi normami moralności i współzycia społecznego. Ludzie ci swoje spory załatwiają we własnym gronie. Sami są swoimi sędziami i jednocześnie wykonawcami wydanych przez siebie wyroków. W tych kołach, w świecie przestępczym, bo właśnie o nim mowa, jeśli nawet ktoś zginie bez wieści, ta wiadomość tylko przypadkowo może dotrzeć do milicji. Nikt, ani żona, ani nawet matka, nie złoży doniesienia. Przeciwnie, jeżeli milicja zainteresuje się takim zaginionym, zawsze usłyszy w odpowiedzi „wyjechał do...”. Tu pada nazwa jakiegoś dużego miasta i uzupełnienie: „szukajcie go sami”.

Kiedy już wszelkie inne drogi poszukiwań zawiodły, major Krzyżewski doszedł do wniosku, że robotnicy pracujący przy odgruzowaniu odkryli przypadkowo grób jakiegoś członka świata podziemnego Wrocławia. Każde duże miasto ma swój podziemny świat.

Skierowano poszukiwania w tym kierunku. Znowu poszły pytania do wszystkich komend wojewódzkich, czy jakiś znany przestępca nie zaginął bez wieści przed kilkoma laty?

Przed poszukującymi wyrosły nowe, jeszcze większe trudności. W tym środowisku niełatwo bowiem odróżnić „zaginionego” od takiego, który unikając zetknięcia z karzącą ręką sprawiedliwości ukrywa się przed okiem milicjanta. Znowu przeglądano i badano olbrzymią ilość najrozmaitszych notatek, raportów i dokumentów.

Jedna z nich, pozornie drobna, zainteresowała majora Krzyżewskiego. Oto posterunek milicji w jednym z miasteczek województwa kieleckiego zawiadamiał Komendę Powiatową, że mieszkaniec tego miasta, Jan Cieślik, zwolniony z więzienia po odsiedzeniu nałożonej na niego kary (o czym posterunek został zawiadomiony przez zakład karny, w którym Cieślik odsiadywał wyrok), nie zameldował się milicji w miejscu swego zamieszkania, chociaż był

do tego obowiązany.

Komenda Powiatowa przesłała ten raport do Komendy Wojewódzkiej i na tym sprawa się zakończyła. Dalszego biegu jej nie nadano. Ostatecznie dopóki Jan Cieślik nie wejdzie ponownie w konflikt z prawem, tego rodzaju wykroczenie jest zbyt błahе, żeby wszczynać specjalne poszukiwania byłego więźnia.

Meldunek nosił datę jednego z pierwszych dni września 1957 roku. Od tej pory Cieślik prowadził widocznie żywot przykładowego obywatela PRL, bo jego nazwisko nigdy więcej nie pojawiło się ani w raportach milicyjnych, ani w kronice sądowej.

Teraz tym człowiekiem postanowił zainteresować się major Krzyżewski. Wieloletnie doświadczenie oficera milicji dostrzegło w tej niepozornej notatce nieznanego sierżanta, kierownika posterunku MO, coś, co mogłoby rzucić światło na sprawę, która w aktach Komendy Wojewódzkiej MO we Wrocławiu otrzymała już kryptonim „szkielet bez palców”.

Czyżby to był właściwy ślad?

ROZDZIAŁ VI

Major szuka Jana Cieślika

Jeżeli Jan Cieślik żyje, trzeba go znaleźć między żywymi. Przy okazji zwróci mu się uwagę na niedopełnienie obowiązku zameldowania się po powrocie z więzienia.

A jeżeli Cieślika nie uda się znaleźć między trzydziestoma milionami obywateli naszego państwa, trzeba zbadać, czy to właśnie nie po nim pozostał ten szkielet o białych kościach, bez palców u rąk, i w jaki sposób jego zwłoki znalazły się przy ulicy Kielbaśniczej.

Natychmiast poszło pytanie do Warszawy, do Głównego Biura Adresowego, gdzie obecnie przebywa Jan Cieślik.

Odwrotna odpowiedź wyjaśniała, że Jan Cieślik jest zameldowany „na stałe” w pewnym miasteczku w Kieleckiem. Nie wymeldował się stamtąd i nie zameldował w żadnej innej miejscowości. O tym adresie na Kielecczyźnie major Krzyżewski dokładnie wiedział. On to przecież był powodem meldunku złożonego przez posterunek milicji.

Wysłano też prośbę do więzienia, w którym Jan Cieślik odbywał karę, o przysłanie karty więźnia.

Z karty tej major Krzyżewski dowiedział się, że Cieślika skazano na trzy lata więzienia z artykułu 257 kodeksu karnego (kradzież). Wyrok odsiedział w całości. W więzieniu pracował w miejscowej stolarni, był bowiem z zawodu stolarzem. Na ogół Cieślik zachowywał się dość dobrze. Miał tam wprawdzie jakieś zatargi z władzami więziennymi, co spowodowało nawet, że nie mógł skorzystać z przedterminowego zwolnienia, ale nie były to sprawy zbyt poważne. Przez trzy lata pracy w stolarni zarobił sporo i przed wyjściem z więzienia kupił sobie nowy garnitur, aby w nim powrócić do domu. Poza tym odebrał z depozytu więziennego książeczkę oszczędnościową z przeszło tysiączłotowym wkładem.

Sprawdzono, co się stało z tymi pieniędzmi. Cieślika zwolniono z więzienia 30 sierpnia w godzinach porannych. Tego samego dnia, w tym samym mieście, gdzie znajdowało się więzienie, podniósł z książeczki tysiąc złotych. Później nigdy już nie dokonywano na tym koncie żadnych wpłat ani wypłat.

Przy zwolnieniu więzień oświadczył, że udaje się do miejsca swojego stałego zamieszkania na Kielecczyźnie. Wtedy to pouczone go, że w ciągu trzech dni po powrocie do domu ma zameldować się na posterunku milicji.

Prowadzącego dochodzenie najbardziej zafrapowały dane dotyczące cech fizycznych byłego więźnia. Miał on sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu i sześćdziesiąt osiem kilogramów wagi. A poza tym w 1957 roku skończył trzydzieści cztery lata. Te dane pokrywały się wprost idealnie z orzeczeniem Zakładu Kryminalistyki, że człowiek, którego szkielet badano, liczył około 175 centymetrów wzrostu, był szczupłej budowy ciała, a jego wiek wahał się między trzydziestym a czterdziestym rokiem życia.

Trzeba więc za wszelką cenę ustalić, co się działo z Janem Cieślikiem od chwili, gdy otworzyły się przed nim drzwi więzienia i gdy w urzędzie pocztowym podjął z książeczki oszczędnościowej tysiąc złotych.

A może nie pojechał do miasteczka, gdzie był meldowany w mieszkaniu, zajmowanym przez brata i jego rodzinę? Może rzeczywiście brat mówił prawdę, że Jan w ich domu w ogóle się nie zjawił ani nie dał żadnego śladu, życia od dnia wyjścia z więzienia? Może Cieślik udał

się prosto do Wrocławia?

Z tym miastem musiały go łączyć jakieś bliższe więzy. Przecież nawet wyrok - trzy lata za kradzież - orzeczony został przez Sąd Powiatowy dla miasta Wrocławia. Tu popełnił

przestępstwo, tu musiał więc przebywać przez jakiś czas i mieć jakieś znajomości.

Major Krzyżewski starannie przejrzał akta sprawy, wyciągnięte z archiwum sądowego.

Niewiele to dało. Przestępca włamał się do jednego ze sklepów. Zerwał kłódkę, otworzył

drzwi i rozpoczął gospodarke wewnątrz sklepu. Ktoś zauważył włamywacza, zatelefonował

do milicji i przysłany samochód z patrolem ujął złodzieja na gorącym uczynku. Przy przesłuchaniu i na rozprawie Cieślik podał jako miejsce zamieszkania ten adres, gdzie był

zameldowany. Twierdził, że przyjechał do Wrocławia w poszukiwaniu pracy dwa dni przed kradzieżą, nocował na dworcu i żadnych współników nie posiadał.

Nie sprawdzano wtedy tych zeznań, bo nie było to potrzebne dla sprawy. Sprawcę kradzieży złapano po prostu za rękę. Jedyne świadkami byli: człowiek, który zaalarmował

milicję, i dowódca patrolu, który aresztował złodziejaszka. Sprawa była prosta i całkowicie wyjaśniona, a tłumaczenia zatrzymanego nie wносиły do niej żadnych istotnych elementów.

Nie zadano sobie dodatkowego trudu sprawdzenia, czy odpowiadają prawdzie.

Milicji wrocławskiej Cieślik nie był w ogóle znany. To nazwisko nigdy przedtem nie wypłynęło ani w raportach dzielnicowych, ani w rejestrze osób zatrzymanych.

Każdy więzień ma prawo otrzymywać raz na dwa tygodnie paczki żywnościowe. Poza tym może otrzymywać od rodziny pieniądze. Są one księgowane na jego koncie. Więźniowi wolno z tych pieniędzy robić „wypiski” - kupować w kantynie więziennej różne artykuły.

Oczywiście przekazy pieniężne i paczki muszą mieć zawsze adres nadawcy.

Milicja zainteresowała się, czy i kto przysyłał paczki Janowi Cieślikowi. W książce prowadzonej w więzieniu łatwo sprawdzić, że Cieślik otrzymywał paczki i pieniądze przede wszystkim od brata. Czasem nadawcą był ktoś inny, również z rodziny więźnia. Dwa razy natomiast paczkę nadano z

Wrocławia. Nadawcą była mieszkanka tego miasta, Barbara Kosicka. Te dwie paczki pani Kosicka nadała w ciągu pierwszych trzech miesięcy po skazaniu Cieślika. Później nigdy już ani nie napisała do więzienia, ani nie przyszła mu z pomocą.

Bez trudu ustalono, że Barbara Kosicka mieszka we Wrocławiu przy ulicy Psie Budy pod numerem szóstym. Uliczka ta w oczach miejscowej milicji nie uchodzi za najbardziej nobliwy punkt nadodrzańskiego grodu. Wprost przeciwnie, cieszy się niezbyt dobrą opinią dzielnicę zamieszkaną przez lumpenproletariat i półświatek. Sobie tylko znanymi sposobami wywiad milicyjny ustalił, że Barbara Kosicka wówczas, w 1960 roku, dwudziestotrzyletnia dziewczyna, w momencie aresztowania Jana Cieślika była jego kochanką.

Niezbyt długo Barbara dochowała wierności więźniowi. Nie miała zamiaru czekać, aż wyjdzie na wolność. W kilka miesięcy po aresztowaniu Cieślika zjawił się jego następca, znacznie młodszy i przystojniejszy od niefortunnego złodziejaska robotnik budowlany, Mieczysław Pietrzak. Ten związek przetrwał aż do 1960 roku i Kosicka mieszkała z Pietrzakiem, jego rodzeństwem - Honoratą i Józefem - oraz ze swoim młodszym bratem Ryszardem.

Od razu nasunęła się hipoteza, że Cieślik po zwolnieniu z więzienia przyjechał do Wrocławia, do swojej dawnej kochanki. Może upomniał się o swoje prawa i został

zamordowany przez młodszego i szczęśliwszego rywala?

Ale przeciwko tej teorii istniał jeden poważny argument. Przecież w bezpośrednim sąsiedztwie tajemniczych zwłok znaleziono gazety z listopada 1957 roku. W świetle tych dowodów bezsporne było, że zwłoki nie mogły być złożone w mogile przy ulicy Kiełbaśniczej wcześniej niż w listopadzie. A Cieślika zwolniono z więzienia w dniu 30

sierpnia. Gdyby żył i przebywał wówczas we Wrocławiu, to musiałby istnieć po nim jakiś ślad. Chociażby podjęcie tych paruset złotych, które pozostały mu jeszcze na książeczce PKO.

Ulica Psie Budy to mały zaułek w samym centrum miasta, w pobliżu Rynku. Na tej ulicy prawie wszyscy mieszkańcy znają się. Znali też Cieślika z okresu przed aresztowaniem, kiedy często odwiedzał mieszkanie Barbary Kosickiej. Dyskretnie przeprowadzony w tym środowisku wywiad nie dał jednak wyniku. Nikt nie spotkał tam Cieślika ani pod koniec sierpnia, ani przez następne miesiące 1957 roku, ani nigdy później.

Miejscowy dzielnicowy bez entuzjazmu wyrażał się zarówno o Barbarze Kosickiej, jak i pozostałych lokatorach jej mieszkania. Wprawdzie nikt z tej piątki nie był karany sędownie, ale wszyscy, według słów doświadczonego milicjanta, byli na najlepszej do tego drodze.

- Lubią tam sobie popić - wyjaśniał - a często dochodzi do bójek. Ale cała ferajna trzyma ze sobą sztamę. Nikt nigdy żadnego meldunku nie złożył. Na Psich Budach nie ma zwyczaju skarżyć się milicji. Nieporozumienia załatwia się we własnym zakresie.

W tych warunkach, przy braku jakichkolwiek poszlak, trudno było przypuszczać, żeby prokurator zgodził się podpisać nakaz aresztowania Kosickiej lub kogokolwiek z jej domowników, a nawet

zezwolić na przeprowadzenie rewizji.

Trzeba było prowadzić nadal dochodzenie w dwóch kierunkach. Po pierwsze dalej szukać Jana Cieślika lub choćby jego śladów po wyjściu z więzienia. Po drugie - wziąć pod obserwację Kosicką i jej rodzinę, starając się w szczególności ustalić, co robili od sierpnia do grudnia 1957 roku.

Milicja zaczęła teraz dokładnie badać przeszłość zarówno obu braci: Mieczysława i Józefa Pietrzaków, jak też i brata Kosickiej - Ryszarda. W ich życiorysach nie było żadnych rewelacji. Wszyscy byli robotnikami budowlanymi. Pracowali w różnych firmach, często zmieniając miejsce pracy. Ustalenie zatem, gdzie byli zatrudnieni Pietrzakowie i Kosicki przed trzema laty, nie było zadaniem prostym. Kilku pracowników milicji sumiennie wertowało najrozmaitsze dokumenty i odwiedzało firmy budowlane poszukując śladów zacnej rodzinki. Są teraz chyba najlepszymi specjalistami w sprawach budownictwa nie tylko w Komendzie Wojewódzkiej we Wrocławiu, ale w całej milicji.

A jednak ten trud opłacił się. Dzięki tak szerokiemu wywiadowi dowiedziano się, że jesienią 1957 roku Miejskie Przedsiębiorstwo Robót Rozbiórkowych prowadziło duże roboty na terenie śródmieścia. Między innymi rozbierało wypalone bloki przy ulicy Kiełbaśniczej.

Jednym z pracowników tego przedsiębiorstwa był wtedy Józef Pietrzak. Udało się też stwierdzić, że Pietrzak pracował w brygadzie zatrudnionej właśnie przy ulicy Kiełbaśniczej.

Przedsiębiorstwo, którego celem było nie tyle odgruzowanie miasta, co uzyskiwanie materiałów budowlanych, głównie cegły i żelaza, ze zrujnowanych domów, zakończyło swoją działalność przy ulicy Kiełbaśniczej w połowie listopada 1957 roku. A gazety znalezione w tajemniczym grobie wśród gruzów pochodziły z okresu zaledwie o parę dni późniejszego.

Józef Pietrzak doskonale wiedział, że roboty przy Kiełbaśniczej dobiegły końca i że na ten teren nie wkroczą nawet szabrownicy, bo cokolwiek było tam cennego, to już Miejskie Przedsiębiorstwo Robót Rozbiórkowych wywiozło aż do ostatniej cegły, pozostawiając jedynie bezwartościowe hałdy gruzu. Jeśli więc ten człowiek lub jego rodzina mieli coś do ukrycia, najlepszym schowkiem byłyby te gruzy.

Praktyka potwierdziła tę teorię. Ciało człowieka, którego szkielet znaleziono w trzy lata później, pochowano w niewielkiej rynnie wygrzebanej wśród rumowiska. Szkielet przykryty był najwyżej trzydziestocentymetrową warstwą cegieł i gruzowiska, a jednak nikt go nie odkrył przez trzy lata. Gdyby nie decyzja budowy nowych bloków przy ulicy Kiełbaśniczej, garstka kości spoczywałaby w swoim prowizorycznym grobie jeszcze długo. Tylko przypadek dopomógł w ujawnieniu tajemnicy. Ale król-przypadek nieraz krzyżował plany ludzi bardziej przebiegłych od rodziny Pietrzaków. Równolegle z wyjaśnieniem przeszłości Pietrzaków i Kosickich milicja z całej Polski prowadziła intensywne poszukiwania Jana Cieślika. Nie dały one jednak żadnego wyniku. Od momentu, kiedy przed więźniem otworzyły się wrota wolności i kiedy podniósł on na pocztę tysiąc złotych swoich oszczędności z książeczki PKO, nikt już go więcej nie widział. Nazwisko to nie figurowało też i w rejestrach zmarłych.

Jeżeli człowiek może zginąć jak kamień wrzucony w morze, to Jan Cieślik właśnie w podobny

sposób zginął w Polsce. Jak gdyby rozpląnął się w jakiś cudowny sposób w powietrzu.

Ale major Krzyżewski nie wierzył w cuda. Dlatego był coraz mocniej przekonany, że tym, co pozostało z byłego więźnia, jest szkielet, który ciągle czekał na wyświetlenie swojej tajemnicy i na chwilę pogrzebu.

Major odbył długą konferencję z prokuratorem. Rzecznik oskarżenia miał poważne wątpliwości.

- Jeżeli zrobicie rewizję i nic nie znajdziecie, to tylko ostrzeżecie morderców, że szukacie Cieślika lub że znaleźliście jego szkielet. Czy nie lepiej dalej prowadzić dochodzenie w ten sposób, aby sprawcy niczego się nie domyślali?

- Nie, panie prokuratorze - oponował oficer milicji - dalsze dochodzenie chyba już niczego nie wyjaśni. Przesłuchaliśmy wiele osób, rozesłaliśmy zdjęcia Cieślika po całej Polsce. Nie mamy żadnych innych poszlak prócz tej, że Józef Pietrzak pracował przy ulicy Kiełbaśniczej.

- To bardzo błaha poszlaka - zauważył prokurator - może się odnosić nie do jednego Pietrzaka, lecz do kilkudziesięciu ludzi zatrudnionych wówczas przy tej rozbiórce.

- Tak, ale nikt z tych ludzi nie znał Cieślika.

- Nie mamy żadnych dowodów, że Pietrzak go znał.

- W każdym razie jest bratem Mieczysława Pietrzaka, następcy Cieślika u Barbary Kosickiej. A Kosiccy to jedyny kontakt Cieślika we Wrocławiu. Poza Kosicką i jej bratem oraz kilkoma mieszkańcami domu pod numerem szóstym na Psich Budach w ogóle nikt z naszego miasta nie znał tego człowieka.

- A jeżeli pan niczego nie znajdzie w czasie rewizji?

- To i tak nie obawiam się, że spłoszę lub ostrzegę Kosicką i jej kochanka. Bo albo są niewinni i po prostu nie będą mieli czego się obawiać, albo nieudana akcja milicji stworzy im miraż pełnej bezkarności. Jakikolwiek jednak będzie wynik rewizji, nie spuszczę oka z tej pary, dopóki nie wyjaśnię całej sprawy.

- Nie jestem zbyt przekonany - stwierdził prokurator.

- Mam jeszcze jeden argument przemawiający za dokonaniem rewizji - bronił się major Krzyżewski. - Od chwili zaginięcia Cieślika upłynęły trzy lata. Przez ten czas nikt, nawet milicja, nie interesowała się losami byłego więźnia. Odkrycie szkieletu przy Kiełbaśniczej również nie nabrało rozgłosu. Wtedy bowiem mówiło się głośno, że chodzi o jeszcze jednego Niemca, zabitego w czasie działań wojennych. Dlatego mordercy, którzy prawdopodobnie pilnowali się przez jakiś czas po dokonaniu zbrodni, sądzą dzisiaj, że już im nic nie grozi.

Rewizja będzie tym nagłym ciosem, jaki nieraz zadaje bokser, który długo czał się na ringu i czekał na właściwy moment.

- Czego pan spodziewa się po rewizji, co pan chce znaleźć?

- Nie wiem - przyznał major - liczę, że znajdziemy jakieś drobiazgi należące niegdyś do Cieślika. Może jego książeczkę PKO, jakieś strzępy dokumentów, przypadkowo zachowaną kartę pocztową? Cokolwiek, co świadczyłoby o tym, że Cieślik po zwolnieniu z więzienia odwiedził ulicę Psie Budy.

- Obawiam się, majorze, że bardziej pan liczy na swoją szczęśliwą gwiazdę i na przypadek, niż opiera się na dotychczasowych wynikach dochodzenia.

- Może pan ma i rację, prokuratorze.

- Jeżeli ci ludzie złożą zażalenie na przeprowadzoną u nich rewizję, będę musiał gęsto tłumaczyć się przed szefem.

- Całą winę proszę wtedy zwalić na mnie, panie prokuratorze.

- Łatwo panu mówić.

- Nie ma obawy. W tych sferach rewizja, i do tego bezskuteczna, nie plami tarczy herbowej, a przeciwnie, jest przyczynkiem do sławy, że tak zręcznie okpiło się milicję.

- No trudno - zgodził się prokurator - zaryzykuję.

To mówiąc podpisał nakaz rewizji w mieszkaniu Barbary Kosickiej.

- Bardzo dziękuję za zaufanie - major schował cenny dla niego dokument.

- Uprzedzam jednak, majorze, że jeżeli rewizja nie dostarczy niewątpliwych dowodów przeciwko Kosickiej czy Pietrzakom, nie dam sankcji na areszt któregokolwiek z nich. Nawet gdyby były dość poważne poszlaki. Muszę mieć dowód.

- Niech się pan prokurator nie obawia. Jeżeli rewizja niczego nie wykryje, nie mam najmniejszego zamiaru przymykać kogokolwiek z tego towarzystwa nie tylko na czterdzieści osiem, ale nawet na jedną godzinę. A jednak mam nadzieję, że rewizja zakończy się naszym sukcesem,

- Zobaczymy. - Prokurator nadal sceptycznie zapatrywał się na całą sprawę.

ROZDZIAŁ VII

Rewizja

Uzbrojony w nakaz rewizji major Adam Krzyżewski wraz ze swoją ekipą i technikiem dochodzeniowym wkroczył pewnego popołudnia do domu oznaczonego numerem sześć przy ulicy Psie Budy. Wybrano taką chwilę, kiedy wszyscy domownicy Barbary Kosickiej znajdowali się w mieszkaniu. Zjawienie się milicji pozornie nie wywarło żadnego wrażenia na zgromadzonych.

- Co za goście! - kpiła Barbara Kosicka. - Gdybyśmy wiedzieli, przygotowałabym poczęstunek. Nawet major przyszedł...
- My w sprawie Jana Cieślika - major zwrócił się do Mieczysława Pietrzaka.
- Cieślik? A kto to taki? - zdziwił się Pietrzak.
- Nie udawajcie, że go nie znacie.
- Pewnie, że nie znam. Pierwsze słyszę.
- Może pani powie, co się stało z Cieślikiem? - Major zwrócił się z tym pytaniem do Barbary Kosickiej.
- Też go nie znam.
- Nawet kłamać trzeba umieć - roześmiał się oficer milicji - szybko pani zapomina o swoich najdroższych. Przecież tu mieszkał, zanim trafił do więzienia.
- A, ten... Nie wiedziałam początkowo, o kogo chodzi. Jak wam potrzebny, to go szukajcie. Mnie on nic nie obchodzi.
- Kiedy go pani ostatni raz widziała?
- Zanim poszedł do więzienia.
- A później?
- Później już nie, bo i jak? Przecież siedział.
- Ale już wyszedł.
- To go sobie szukajcie, kiedy wam potrzebny. Mnie nie.
- Właśnie przyszliśmy szukać.
- Zajrzyjcie pod łóżko, może się schował - drwiła Kosicka.
- Zajrzymy. Nie tylko pod łóżko. Wszędzie gdzie będzie trzeba - to mówiąc major wyjął

nakaz rewizji.

Kosicka rzuciła okiem na dokument podpisany przez prokuratora i opatrzony pieczętą państwową.

- Szukajcie. Przynajmniej wytrzeć wszystkie kurze po kątach.

Milicja nawet nie fatygowała się, żeby zadawać jakieś pytania pozostałym domownikom. Jasne było, że cała piątka przyjęła taktykę zaprzeczania wszystkiemu. Rewizję przeprowadzono bardzo dokładnie. Major osobiście przeglądał dokumenty, listy i inne papiery znalezione w mieszkaniu. Obejrzano również dokładnie całą odzież męską. Nie znaleziono jednak niczego, co można by zakwestionować. Mieszkanie było idealnie „czyste”.

Po dwóch godzinach oficer milicji uznał, że dalsze przebywanie w tym lokalu nic już nie da.

- Dajcie klucze do piwnicy - zażądał.

- W naszym domu nie ma piwnic.

- Sam widziałem schody na dół.

- Tam są składy, ale my nie mamy piwnic. Można sprawdzić w administracji.

- Ale macie komórkę - zauważył jeden z milicjantów.

Na podwórku stał wąski, ale dość długi budynek z czerwonej cegły, przylegający do sąsiedniego domu. Miał on kilkoro drzwi zamkniętych na kłódki. Każdy lokator domu, zamiast piwnicy, rozporządzał jednym boksem w tym pomieszczeniu.

- Tam też Cieślika nie znajdziecie - roześmiała się Kosicka.

- Poprosimy o klucz.

- Leży w szufladzie, w stoliku.

- To ten? - jeden z milicjantów wyjął klucz, którego kształt zdradzał, że służy do otwierania dużej kłódki.

- Ten.

- Pani pójdzie z nami.

- Po co?

- Jako świadek rewizji. Żeby pani później nie mówiła, że coś było zrobione nieformalnie.

- Po was można wszystkiego się spodziewać.

- Proszę, żeby pozostali domownicy nie opuszczali mieszkania. Kapral Jakubowski i kapral Bronisz

zostaną tutaj. Reszta idzie z nami obejrzeć tę komórkę.

- To ta - Kosicka pokazała na jedne z drzwi, kiedy stanęli przed ceglanym budynkiem.

Otworzono kłódkę.

- Co tam jest?

- Sami zobaczcie. Trochę zeszlórocznego węgla. Różne graty i stary rower mojego brata Ryśka.

Technik dochodzeniowy wszedł do komórki. Powietrze było tu bardzo ciężkie.

Pachniało stęchlizną.

- Obok, panie majorze - wyjaśnił jeden z milicjantów, który najlepiej znał ten teren - jest piekarnia. Tylko przez ścianę. Ta komórka akurat stoi w miejscu gdzie piekarz wybudował

swój piec. Cała ściana grzeje.

Major rozejrzał się uważnie. Komórka była nawet dość obszerna. Miała ze dwa metry szerokości i w głąb sięgała do trzech metrów. Pomieszczenie nie miało podłogi. Ziemia pomieszana z miałem węglowym była zupełnie czarna. Kosicka mówiła prawdę.

Rzeczywiście na środku komórki widać było niewielką kupkę większych kawałków węgla pomieszanego z miałem. Przy ścianie stał rower. Brudny i zakurzony. Koła nie miały ani opon, ani dętek. Poza tym na ziemi poniewierały się różne rupiecie. Jakaś miska, parę doniczek po kwiatkach i parę wyszczerbionych garnków.

- No co? Cieślিকা nie znaleźliście? - nadal drwiła Kosicka.

Technik dochodzeniowy już chciał opuścić komórkę, kiedy jego uwagę zwrócił duży zaciek w lewym jej kącie.

- To trzeba zbadać - powiedział do majora.

Jeden z milicjantów wziął leżącą na węglu szufłę i zaczął odgarniać ziemię przy ścianie noszącej ślady zacieku. Ziemia była wilgotna. Im dalej sięgała łopata, tym bardziej to, co wyjmowano na powierzchnię przypominało błoto, a nie piasek przemieszany z miałem węglowym. Wreszcie pod uderzeniem zadźwięczało żelazo i oczom obecnych ukazała się rura wodociągowa prowadząca prawdopodobnie do piekarni. Widocznie pakunek na złączach rury był nieszczelny lub obłuzował się tak, że kropelki wody wydostawały się na zewnątrz.

One to były powodem wilgoci. Ta woda z ciepłem bijącym od piekarskiego pieca stwarzała duszną, zatechłą atmosferę panującą w komórce.

Ta duchota skojarzyła się nagle oficerowi milicji ze słowami otrzymanej z Warszawy ekspertyzy „zwłoki musiały przebywać w wilgotnym, ciepłym miejscu, co spowodowało bardzo szybki rozkład

wszystkich miękkich części”.

Tak, to było jedyne logiczne wytłumaczenie wszystkiego. I tego, że wprawdzie Cieślik tajemniczo zniknął ostatniego dnia sierpnia 1957 roku, a mogła, w której znaleziono przy ulicy Kielbaśniczej szkielet bez palców, pochodzi z okresu prawie o trzy miesiące późniejszego. To wyjaśniło też, dlaczego zwłoki uległy tak szybkiemu rozpadowi, a nawet tłumaczyło fakt znalezienia szkieletu bez palców. Teraz wszystko stało się jasne.

Ale była to tylko hipoteza. Trzeba ją było jeszcze poprzeć faktami. Barbara Kosicka spoglądała na milicjantów z ironicznym uśmieszkiem i nie kryła zadowolenia.

- Wykopaliście skarby?

- Może wykopujemy coś cenniejszego dla nas niż skarby - odpowiedział.

- A co?

- Zaraz pani zobaczy.

- Ciekawa jestem - dziewczyna była w coraz lepszym humorze.

- Musimy kopać ziemię tam, gdzie jest zaciek - polecił Krzyżewski swoim ludziom -

wzdłuż całej rury. Ziemię wrzucajcie do miski i wynoście na podwórko.

Za chwilę pierwsza miska załadowana z czubem czarną masą znalazła się na podwórzu.

Major, nie bacząc na nowiutki mundur, brał rękoma ziemię i przesiewając ją w palcach wysypywał z miski na bruk podwórza. Parę razy uważnie oglądał większe czarne przedmioty.

Były to jednak grudki węgla lub jakieś niewielkie kamyki. Po przesypaniu całej zawartości miski major kazał przynieść następną porcję ziemi.

- My już to zrobimy - zaofiarował się sierżant Walczak - wiem, czego szukać, panie majorze. Niech pan się nie brudzi. Szkoda nowego munduru. Moja bluza stara i wypłowiała, nic jej nie będzie.

Następne dwie miski ziemi nie przyniosły żadnych rewelacji. Za to ręce sierżanta przybrały piękny czarny kolor. Takie same plamy pojawiły się na bluzie mundurowej.

- Kopcie także i bardziej do środka. Wszędzie tam, gdzie ziemia jest wilgotna - polecił major.

Znowu parę misek ziemi przesianych między palcami bez widocznego rezultatu.

Kosicka bawiła się coraz lepiej, patrząc, jak mundury milicjantów stają się w miarę postępu pracy coraz bardziej ciemne i brudne.

- Niektórzy - powiedziała patrząc beczelnie na majora - gdyby byli tacy chorzy, jak są głupi, to już dawno by umarli.

Oficer milicji nie zareagował na tę zaczepkę.

Przy którymś „transporcie” ziemi sierżant Walczak, przebijając ją ostrożnie rękoma, wyłowił małą czarną grudkę. Podał ją Krzyżewskiemu:

- Niech pan się przyjrzy, majorze. To nie kamień i nie węgiel. Za lekkie.

Major wziął do ręki czarną masę. Poskrobał paznokciem oczyszczając z warstwy błota.

Przedmiot znaleziony w ziemi stał się nieco jaśniejszy. Jego kolor bardziej przypominał teraz kamień, niż kawałek węgla. Po dalszym oczyszczeniu stało się jasne, że znaleziona grudka to po prostu mała kosteczka.

Major wyjął z teczek kopertę i schował znalezioną kość.

- Znaleźliście złoto - drwiła Kosicka.

Nikt jej nie odpowiedział. Praca szła dalej. W kilku następnych miskach niczego nie znaleziono, ale potem milicjantom dopisało szczęście. W ich rękach znalazły się znowu aż trzy czarne grudki. A później znowu cztery. Major ostrożnie oczyszczał wszystkie z warstwy błota i chował do swojej torby. W następnych porcjach także znaleziono kilkanaście kosteczek. Później było już ich tylko dwie. Znowu porcja ziemi i dalsze dwie grudki powędrowały do koperty majora. Za to w dwóch następnych miskach nie było niczego.

Wybrano jeszcze kilka porcji ziemi. Nie odkryto niczego ciekawego. Wreszcie ciemna dotychczas masa zaczęła pod łopatą kopiącego milicjanta stawać się bardziej jasna. W końcu zamieniła się w żółciutki piasek.

- Nie ma już celu dalej kopać - stwierdził major - nie przypuszczam, żebyśmy mogli jeszcze coś znaleźć. Ale i to wystarczy.

- No, coście tam znaleźli? - Kosicka przestała drwić, bo rzeczywiście zainteresowało ją, co za tajemnicze bryłki oficer milicji tak skrupulatnie chował do teczek. - Złoto?

- Coś cenniejszego od złota. Kości - wyjaśnił major.

- Kości? Jakie?

- Nie „jakie”, tylko czyje - poprawił Krzyżewski.

- Więc czyje?

- Pani dobrze wie czyje.

Mówiąc te słowa oficer milicji nie spuszczał oczu z Barbary Kosickiej. Wyraźnie widział, jak w twarzy tej dziewczyny, zachowującej się dotychczas nie tylko zuchwale, ale wprost bezczelnie, zachodzi ogromna zmiana. Znikł bez śladu drwiący uśmiech. Widać było, jak przez twarz młodej osoby przebiegło parę drgań. W końcu Kosicka zdołała się opanować i powiedziała, starając się, aby głos wypadł możliwie jak najbardziej naturalnie:

- Pan major opowiada jakieś bajeczki.

- To nie żadne bajeczki - zaprzeczył spokojnie - to, co pozostało po Cieśliku, jego szkielet, znaleźliśmy już przed paru tygodniami. Brakowało tylko kości palców. No i znaleźliśmy je. Nareszcie mam je w teczce. A szukałem ich po całej Polsce.

- Znaleźliście pod gruzami kości jakiegoś Niemca. Niech pan nie bluguje - Kosicka znowu stawiała się pewna siebie. - Wiem dobrze, bo mój znajomy pracował tam, kiedy te kości wykopano.

- To nie były kości człowieka, który zginął w czasie wojny - wyjaśnił major - mamy na to dowody. Ten człowiek umarł w 1957 roku. Akurat wtedy, kiedy zginął Cieślik. Teraz już wszystko jest jasne. Tylko szczere przyznanie się może wam coś pomóc.

- Nie ma do czego się przyznawać - odpowiedziała Kosicka - albo to ze znalezionych kości można poznać, czyje one?

- Właśnie że można. Lekarze mogą ustalić wiek człowieka, jego wzrost i wagę, a nawet kiedy i jak zginął. Zabiliście Cieślika siekierą. Kto uderzał?

- Nie wiem, o czym pan mówi - broniła się dziewczyna - to nieprawda!

- Dobrze. Nie chce się pani przyznać, sama sobie w ten sposób pani szkodzi. My i tak dowiemy się całej prawdy. Wystarczy, że lekarze stwierdzą, iż kości znalezione w tej komórce stanowią jedną całość ze szkieletem odkopanym przy ulicy Kiełbaśniczej. Zrobi się odpowiednie badania i wszystko będzie tak udowodnione, że prokurator będzie mógł pisać akt oskarżenia.

- Niech pisze. Ja o niczym nie wiem.

- Cieślik przyszedł do was bezpośrednio po wypuszczeniu z więzienia?

- Powiedziałam już, że ostatni raz widziałam Cieślika przed jego aresztowaniem.

- Jak sobie posiedzi, to się namyśli i będzie rozmowniejsza - wtrącił się sierżant.

- Mogę siedzieć. A co to, nie dla ludzi?

Major widząc, że dziewczyna już się opanowała i żadne sposoby nakłonienia jej, aby przyznała się do winy i szczerze przedstawiła cały przebieg tragicznych zdarzeń tamtego sierpniowego dnia, nie odnoszą skutku, postanowił przerwać tę bezcelową rozmowę. Teraz, kiedy miał nieodparty dowód winy całej piątki, nie wątpił, że wkrótce i tak dowie się prawdy.

Nie wątpił też, że prokurator, zawsze tak ostrożny, kiedy chodzi o podpisanie nakazu aresztu, tym razem udzieli swojej sankcji na zatrzymanie całej rodziny Kosickich i Pietrzaków. Poleciał

przeto jednemu z milicjantów:

- Zawiadomcie komendę, żeby przysłała dwie karetki po aresztowanych.

- Wszystkich nas chcecie zabrać? - zaniepokoiła się nieco Kosicka.

- Tak, królowno - odpowiedział kapral - dla wszystkich znajdzie się u nas gościnne miejsce.

- Chciałabym jeszcze wrócić do domu.

- Po co?

- Skoro mnie aresztujecie, to mam chyba prawo zabrać ze sobą trochę rzeczy i jedzenie.

- Ma pani prawo - zgodził się major. - Przyjedzie karetka i zabierze tamtych, którzy są w mieszkaniu, a wtedy zaprowadzę panią na górę i weźmie pani potrzebne rzeczy.

- Chciałabym pożegnać się z bratem i z Mietkiem.

- Żeby im powiedzieć, jak mają zeznawać? - roześmiał się sierżant. - Co to, to nie. Tacy naiwni nie jesteśmy. Przyjdzie czas, że pani zobaczy się z nimi.

- Gdzie?

- W swoim czasie dowie się pani - odpowiedział sucho major Krzyżewski.

Milicjant wysłany do stojącej o parę domów dalej milicyjnej warszawy, mającej radiofon, wrócił i zameldował, że Komenda przysłała jedną karetkę, bo inne zajęte.

- Nic nie szkodzi. Do karetki weźmiemy tamtych z góry, a Kosicka pojedzie z nami, w naszym samochodzie. Chodzi przecież tylko o to, żeby nie mogli porozumieć się z sobą.

W kilka minut później podjechał samochód. Major polecił dwóm ze swojej ekipy, aby wraz z Kosicką weszli do komórki, sam zaś poszedł na górę w asyście przybyłych funkcjonariuszy. Zakomunikował braciom Józefowi i Mieczysławowi Pietrzakom oraz ich siostrze Honoracie i bratu Kosickiej, Ryszardowi, że są zatrzymani i zostaną przewiezieni do aresztu milicyjnego.

- Za co, panie majorze? - zapytał jeden z Pietrzaków.

- Już wy dobrze wiecie za co - odpowiedział major - a my też. Zresztą porozmawiamy obszerniej na ten temat w komendzie milicji.

- Jak chcecie, możecie wziąć ze sobą zmianę bielizny i ubranie - pouczał sierżant.

- A po co? - grał pewnego siebie Mieczysław Pietrzak - przecież i tak zaraz będziecie musieli nas zwolnić. Jeszcze dzisiaj wrócimy do domu.

- Nie liczcie na to. Dużo wody upłynie w Odrze, zanim któryś z was wróci na Psie Budy.

Mieczysław Pietrzak usiłował uśmiechnąć się, ale wyszedł z tego tylko jakiś grymas.

Reszta milczała spuściwszy głowy. Dwudziestoletnia Honorata Pietrzak zaczęła płakać.

- Przestań beczeć, bo jak cię... - krzyknął Mieczysław.

- Tylko spokój! - przerwał jeden z milicjantów.

- Skujcie razem Mieczysława i Józefa - rozkazał major. - Zabierzcie ich najpierw. Po nich wyprowadzimy tych dwoje - to mówiąc wskazał na Ryszarda i Honoratę. Tym nie trzeba zakładać kajdanek.

Wyprowadzono pierwszą dwójkę.

- Za co, panie majorze? - płakała dziewczyna. - Jestem niewinna. Nic nikomu nie zrobiłam.

- Nie będziemy tu rozmawiali. No, bierzcie, co macie brać, i w drogę. Nie radzę próbować ucieczki, bo będziemy strzelać.

Wyprowadzono Ryszarda. Za nim wyszła ciągle płacząc Honorata.

Major zadysponował, aby po przybyciu do Komendy wszystkich zatrzymanych natychmiast rozdzielić tak, żeby nie mogli się ze sobą porozumiewać. Kiedy auto ruszyło, Kosicka weszła pod konwojem na górę, do swojego mieszkania. Pozwolono jej zabrać trochę rzeczy osobistych i żywność. W obecności Kosickiej zamknięto i opieczętowano cały lokal.

Dwóch milicjantów usiadło na przednich siedzeniach warszawy. Z tyłu zajął miejsce sierżant, w środku Barbara Kosicka, obok niej major. Samochód ruszył i skierował się w stronę ulicy Podwale Świdnickie, gdzie we Wrocławiu mieści się Wojewódzka Komenda Milicji Obywatelskiej. Kiedy wóz zatrzymał się przed gmachem KW MO i wszyscy wysiedli, major raz jeszcze zaproponował Kosickiej:

- Może pani chce złożyć zeznania?

- Nie mam nic do powiedzenia - odrzekła dziewczyna wchodząc do gmachu.

ROZDZIAŁ VI.

Śledztwo toczy się dalej

Na drugi dzień po aresztowaniach dokonanych przy ulicy Psie Budy 6 prokurator w obecności majora Krzyżewskiego kolejno przesłuchiwał oskarżonych. Ani prawnik, ani oficer milicji nie spodziewali się,

aby te przesłuchania przyczyniły się w czymkolwiek do ostatecznego wyjaśnienia sprawy. Chodziło raczej o pewną formalność: przedstawienie wszystkim zatrzymanym zarzutów, wysłuchanie ich wyjaśnień, zgodnie z przepisami kodeksu postępowania karnego, wydanie nakazu aresztu.

Chociaż aresztowanych tak rozmieszczono, że nie mieli żadnych możliwości porozumiewania się z sobą, to jednak przyjęli identyczną taktykę. Pietrzakowie zgodnie twierdzili, że nawet nie słyszeli o istnieniu człowieka zwanego Janem Cieślikiem, a tym bardziej nigdy go nie oglądali na oczy. Barbara Kosicka i jej brat Ryszard wprawdzie nie mogli zaprzeczyć znajomości z zaginionym, ale uparczywie obstawali przy tym, że nie kontaktowali się z tym człowiekiem od chwili jego aresztowania.

Co do kości znalezionych w ich komórce, żadne z przesłuchiowanych nie umiało dać odpowiedzi, skąd one się tam wzięły. - Zapewne - snuli przypuszczenia - leżały w ziemi jeszcze przed wprowadzeniem się Kosickich do mieszkania przy ulicy Psie Budy.

Prokurator nie dał wiary tym wykrętnym tłumaczeniom i zastosował areszt wobec całej piątki.

Tymczasem major Krzyżewski prowadził dalsze śledztwo. Badania kosteczek znalezionych w komórce Kosickiej potwierdziły, że są to kości pochodzenia ludzkiego i to właśnie kości palców. Okres, przez jaki znajdowały się w ziemi, nie przekracza czterech lat.

Kości te mają podobne właściwości co szkielet znaleziony przy ulicy Kiełbańskiej i prawdopodobnie stanowią jego część, chociaż nie ma na to absolutnie pewnego dowodu.

Większe spróchnienie i inny kolor tych części kostnych spowodowany został tym, że znajdowały się one w innych warunkach termicznych.

W ten sposób śledztwo uzyskało dowód, że w okresie, kiedy przy ulicy Psie Budy mieszkała Barbara Kosicka, w jej komórce pochowano jakiegoś mężczyznę. Później zwłoki wykopano i przeniesiono do grobu przy ulicy Kiełbańskiej.

Nadal jednak milicja nie dysponowała dowodem, że szkielet, znaleziony przez robotników pracujących przy odgruzowaniu Wrocławia, był kiedyś Janem Cieślikiem.

Podobieństwo fizyczne wystarczało, żeby snuć takie przypuszczenia, a jednocześnie nie stanowiło dostatecznego argumentu dla sporządzenia przez prokuratora aktu oskarżenia.

Zresztą o co mógłby oskarżać? Jedyne o nielegalne pochowanie jakiegoś człowieka w piwnicy i następnie potajemne przeniesienie zwłok w inne miejsce. Nie dałoby się bowiem udowodnić morderstwa ani roli, jaką w nim odegrała piątka mieszkańców lokalu Kosickiej.

Dowody zebrane przez Krzyżewskiego pozwalały wprawdzie na uzyskanie nakazu aresztowania całego towarzystwa, lecz major miał przed sobą dalsze, równie trudne zadanie wyświecenia sprawy do końca i ujawnienia, kto był inicjatorem, kto wykonawcą, a kto jedynie pomocnikiem przy dokonaniu morderstwa. W obecnej sytuacji prokurator nie ryzykowałby nawet procesu poszlakowego. Była przecież podobna sprawa księdza Lecha, gdzie również w piwnicy znaleziono zwłoki kobiety. Podejrzanie o zabójstwo padło na mieszkańca tego domu, tym bardziej, że był on

dobrym znajomym zamordowanej. W Sądzie Wojewódzkim zapadł wyrok skazujący, jednakże Sąd Najwyższy uchylił ten wyrok i oskarżonego uniewinnił uważając, że wszelkie wątpliwości należy tłumaczyć na korzyść oskarżonego. Brak wyraźnych dowodów winy stwarzał wiele takich wątpliwości. Teraz przy dużej analogii obu spraw rzecznik oskarżenia musiał być bardzo ostrożny z formułowaniem swoich zarzutów.

Major liczył, że teraz, kiedy wiadomość o aresztowaniu Kosickich i Pietrzaków odbiła się głośnym echem w całej dzielnicy, ludzie zaczną sobie przypominać zdarzenia sprzed trzech lat. A może nie tyle przypomną sobie, co po prostu staną się bardziej rozmowni.

Inaczej bowiem traktuje się składanie zeznań obciążających sąsiadów, z którymi człowiek spotyka się kilka razy dziennie na tych samych schodach, a inaczej składanie zeznań w sprawie kogoś, kto jest już aresztowany pod zarzutem popełnienia morderstwa. Wtedy ludzkie języki łatwiej się rozwiązują.

Tym razem Krzyżewski nie próbował już przeprowadzenia wywiadów i zbierania wiadomości w sposób dyskrecyjny. Wprost przeciwnie, uważał, że szybciej dotrze do czegoś, jeżeli wezwani na świadków będą musieli składać oficjalne zeznania i zostaną uprzedzeni, że zgodnie z przepisami prawa „za składanie fałszywych zeznań grozi surowa kara”. Dlatego też wszyscy mieszkańcy domu pod numerem szóstym przy ulicy Psie Budy i wielu sąsiadów tej kamieniczki otrzymało urzędowe zaproszenie do złożenia wizyty w Komendzie Wojewódzkiej MO.

Ten sposób okazał się właściwy. Przesłuchiwani bardzo dobrze przypominali sobie Jana Cieślaka, który przeszło dwa lata, jak się okazało, mieszkał w lokalu Kosickiej. Nigdy zresztą nie był tam zameldowany. O jego zarobkach i niefortunnym włamaniu do sklepu opowiadano również z wieloma szczegółami. Te sprawy były już zresztą w tej chwili mało ważne.

Natomiast ogromną wagę miały zeznania sprzedawczynie papierosów z pobliskiej trafiki.

Przypomniała sobie ona, że widziała Jana Cieślaka w lecie 1957 roku. A więc musiało to być wtedy, kiedy przed więzieniem otworzyła się na wolność brama zakładu karnego. Cieślak kupował u tej kobiety papierosy i wypytywał ją, jako swoją starą znajomą, czy Barbara Kosicka jeszcze mieszka w swoim dawnym lokalu. Sprzedawczynie zapamiętała, że jej rozmówca poszedł potem w stronę ulicy Psie Budy.

To był pierwszy i bardzo ważny dowód, że Cieślak po wyjściu z więzienia miał jakieś powiązania z Kosicką.

Bodaj jeszcze ciekawsze były zeznania Janiny M., sąsiadki Kosickich, z tego samego domu. Opowiedziała ona o tym, że pewnego wieczoru przed trzema laty, daty oczywiście pani M. nie pamiętała, Barbara Kosicka skarżyła się sąsiadce, że po wyjściu z więzienia Cieślak odwiedził ją. A kiedy dowiedział się, że kochanka nie dotrzymała mu wierności i żyje obecnie z Pietrzakiem, uderzył ją w twarz i wyszedł z mieszkania. Miał rzekomo powiedzieć Kosickiej, że nie chce jej więcej znać i wyjeżdża do Gdyni. Barbara pokazywała nawet sąsiadce ślady tego uderzenia. Cały policzek miała czerwony i lekko podpuchnięty. Według pani M. uderzenie musiało być mocne.

Majorowi udało się odszukać jeszcze jedną sąsiadkę Kosickich, która również słyszała z ust

Kosickiej podobną historyjkę. A więc śledztwu przybył wreszcie dowód, że Jan Cieślik już po wyjściu z więzienia odwiedził byłą kochankę i rozmawiał z nią. Czy była to ostatnia rozmowa w jego życiu?

Obie kobiety powtórnie zaproszono do Komendy Milicji. Wprowadzono je do pokoju sąsiadującego z gabinetem majora Krzyżewskiego. A tymczasem w sąsiednim pomieszczeniu oficer milicji przesłuchiwał Barbarę Kosicką.

- Kiedy po raz ostatni widziała pani Jana Cieślika?

- Mówiłam już, że przed jego aresztowaniem. Daty nie pamiętam. Co się mnie ciągle czepiacie? Nic nie wiem o Cieśliku.

- Wiadomo nam - odpowiedział major Krzyżewski - że Jan Cieślik zwolniony został z więzienia w godzinach rannych 30 sierpnia 1957 roku. Z tego miasta, gdzie odsiadywał

wyrok, jedzie się pociągiem do Wrocławia około dwóch godzin. Więc w południe albo po południu był już w naszym mieście i odwiedził panią. Jaki był przebieg waszej rozmowy.

- Nieprawda. Wcale u mnie nie był.

- My wiemy, że był. Mamy na to dowody.

- Milicja kłamie.

Major nacisnął guzik dzwonka. Jeden z milicjantów wprowadził do środka obydwie sąsiadki Kosickiej.

Obie kobiety stanęły pod ścianą naprzeciwko aresztowanej znajdującej się w drugim końcu pokoju.

- Panie zeznały, że Barbara Kosicka skarżyła się wam, że Cieślik po powrocie z więzienia zrobił jej awanturę i uderzył w twarz. Kosicka pokazywała wam ślady tego uderzenia?

Krzyżewski odczytał z protokołów fragmenty zeznań świadków.

- Czy zgadza się? Tak było, jak panie zeznały?

- Wszystko co do słowa - potwierdziła Janina M.

- Mogę przysiąc w kościele, że powiedziałam prawdę - oświadczyła druga sąsiadka.

- Jak było, pani Kosicka? - major zwrócił się z kolei do Barbary.

- Łżą, obie łżą, wściekle suki! - zaperzyła się Kosicka. - Co wam obiecał za te kłamstwa? Jeszcze się policzymy.

- Jak pani może tak mówić? - oburzyła się Janina M. - Jeszcze pani radziłam, żeby zrobić okład z

zimnej wody, to opuchlizna szybciej zejdzie.

Major dał znak i milicjant wyprowadził obydwie kobiety.

- Mam jeszcze jedno zeznanie - powiedział do Kosickiej - właścicielki budki z papierosami. Ona również pamięta, że Cieślik w lecie 1957 roku kupował u niej papierosy i pytał, czy pani nadal mieszka przy ulicy Psie Budy.

Kosicka milczała.

- Co za sens ma zaprzeczanie faktom, które są zupełnie pewne? Czy nie lepiej przyznać się do wszystkiego? Trudno, nie udało się. Wpadliście i teraz tylko szczere przyznanie się może wam pomóc. Nie uważam pani za naiwną. Sama chyba zdaje sobie pani sprawę ze swego położenia. Przyznanie się do winy sąd zawsze uważa za okoliczność łagodzącą. Jeżeli będziecie milczeli, wszyscy dostaną surowe wyroki, bo wszystkich sąd uzna za zabójców.

Kosicka słuchała tych perswazji z kamienną twarzą.

- Nic wam nie powiem. Nic nie wiem.

Na polecenie oficera dyżurny milicjant odprowadził aresztowaną do celi.

Przesłuchiwani przez milicję mieszkańcy domu przy ulicy Psie Budy ujawnili jeszcze jeden fakt. Doskonale pamiętali, że od lata 1957 roku aż do późnej jesieni coś okropnie cuchnęło w ich komórkach. Przypuszczali, że to na skutek zakładania przez piekarza trutek na szczury. Potem ten niemiły zapach zniknął.

A więc następny dowód, że straszna tajemnica składziku Kosickiej polegała na pochowaniu tam zwłok.

Milicja znalazła też narzędzie, którym prawdopodobnie zadano śmierć Janowi Cieślikowi. Jeden z sąsiadów przyznał się, że przed dwoma laty pożyczył od Mieczysława Pietrzaka siekiere. Dotychczas jej nie oddał, bo Kosicka powiedziała, że ta siekiera jest jej niepotrzebna i sąsiad może ją sobie zatrzymać. Więc tak zostało. Ten człowiek używał

pożyczonego topora do rąbania drzewa.

Badania siekiery nie dały wyniku. Żadnych plam, w których można byłoby ustalić ślady krwi, nie znaleziono ani na drzewcu, ani na żelazie. Zresztą nic dziwnego. Przecież upłynęły już trzy lata. Porównanie ostrza siekiery z rysami na czaszce i kości ramieniowej szkieletu wskazywało na duże prawdopodobieństwo zadania razów właśnie tym narzędziem.

Orzeczenia ekspertów są zawsze bardzo ostrożne. Zarówno pracownicy Zakładu Kryminalistyki, jak i inni biegli zdają sobie doskonale sprawę, że od ich świadectwa zależy nieraz życie lub śmierć człowieka, wyrok śmierci albo uwolnienie od winy i kary. Toteż kiedy nie mają, jak to się mówi, „stuprocentowej pewności”, wolą użyć słowa „prawdopodobnie”

lub zwrotu „prawie na pewno”.

W każdym bądź razie śledztwo zrobiło duży postęp. Udało się udowodnić, że Jan Cieślik po zwolnieniu przyjechał do Wrocławia i przyszedł do mieszkania Kosickiej. W tym lokalu musiało dojść do jakiejś awantury. Przecież sama Barbara skarżyła się sąsiadkom, że były kochanek ją pobił. Dodawała wprawdzie zaraz, że opuścił jej mieszkanie i „pojechał do Gdyni”, ale major Krzyżewski wierzył w pierwszą część opowiadania Barbary, natomiast drugą uważał za bajeczkę, mającą wytłumaczyć natychmiastowe zniknięcie Cieślika.

Oficer milicji gotów był przyjąć za najprawdopodobniejszą taką oto wersję wypadków w mieszkaniu przy Psich Budach: były więzień musiał domyślać się, że Barbara Kosicka nie pozostała mu wierna; nie pisała do niego listów i od dawna nie przysyłała paczek. Kiedy zaś zastał w mieszkaniu rodzinę Pietrzaków, od razu zorientował się, że najstarszy z nich, Mieczysław, jest jego następcą u boku pięknej Barbary. Wtedy doszło do awantury, w czasie której Cieślik uderzył byłą kochankę. Naturalnie w bójce z trójką silnych, rosnących robotników budowlanych były więzień, a do tego człowiek wątłej budowy ciała, nie miał najmniejszych szans. Rezultatem bijatyki była śmierć Cieślika. Kiedy bijący spostrzegli, że temperament zbyt ich poniósł i ich ofiara nie żyje, pogrzebali ją w komórce, w pobliżu pękniętej rury wodociągowej. Rozkład ciała „w ciepłym, wilgotnym miejscu” musiał być bardzo szybki.

Sąsiedzi zaczęli narzekać na niemiłe zapachy. To przstraszyło zabójców. Właśnie wtedy jeden z Pietrzaków pracował przy rozbiórkach domów na ulicy Kiełbaśniczej. Wiedział, że roboty są na ukończeniu i miejsce to nadaje się doskonale do ukrycia zwłok Cieślika. Pewnej listopadowej nocy wykopano ciało zmarłego, owinięto je w gazety i przeniesiono na pobliską ulicę Kiełbaśniczą. Ciało przykryto warstwą gruzu. Nie zauważono przy tym, że wskutek rozkładu palce oddzieliły się od reszty ciała i pozostały w ziemi, w komórce.

Taki przebieg wypadków był bardzo możliwy. Jedno tylko zastanawiało majora Krzyżewskiego i prokuratora, z którym oficer podzielił się swoją teorią: dlaczego Barbara Kosicka tak uparcie nie chciała przyznać się nawet do obecności byłego więźnia w jej mieszkaniu? Dziewczyna była niewątpliwie najinteligentniejsza i najbardziej sprytna z całej piątki. A jednak zaprzeczała oczywistym faktom, powiedzianym jej w oczy w czasie konfrontacji.

Gdyby przebieg wypadków był taki, jak to sobie major mógł wyobrazić, Barbara niewiele ryzykowałaby przyznając się do wszystkiego. Mężczyznom groziła wtedy odpowiedzialność jedynie z artykułu 240 kk przewidującego karę do pięciu lat więzienia za udział w bójce, która zakończyła się śmiercią jednego z jej uczestników. Obrona miałaby, duże pole do walki o obniżenie kary, motywując ten czyn koniecznością stanięcia w obronie pobitej kobiety i przekroczeniem obrony własnej.

A jednak Kosicka przyjęła taktykę zaprzeczania wszystkiemu. Na pewno miała w tym jakieś wyrachowanie.

Ale jakie?

ROZDZIAŁ IX

Łańcuch pęka

Wytrzymałość łańcucha przy rozrywaniu mierzy się jego najslabszym ogniwem. Kiedy to ogniwo pęka, cały łańcuch na nic. Dla majora Adama Krzyżewskiego takim łańcuchem była zmowa milczenia całej piątki Kosickich i Pietrzaków. Trzeba więc w tym łańcuchu znaleźć najslabsze ogniwo i spróbować je rozerwać.

Oficer milicji przypuszczał, że tym najslabszym ogniwem będą kobiety. Przede wszystkim Barbara Kosicka, która, jak sądził major, miała stosunkowo najwięcej na swoje usprawiedliwienie. Została pobita przez Cieślaka, Znajdowała się prawdopodobnie pod wpływem szoku i nawet nie jest do pomyślenia, żeby to ona zadawała ciosy siekierą. Milczy, bo chce osłonić kochanka - Mieczysława Piętrzaka. Może jednak namyśliła się i przestanie zaprzeczać przynajmniej oczywistym faktom?

Krzyżewski znowu wezwał nHa przesłuchanie Barbarę Kosicką. Po wstępnych formalnościach, dziewczyna zapytała:

- Kiedy nas zwolnicie? Dostyc tej zabawy.
- Dostyc zabawy. Trzeba nareszcie mówić prawdę. A co do zwolnienia, to sprawa prokuratora i sądu.
- Nic przeciwko nam nie macie - Kosicka była nastrojona agresywnie - nie wolno ludzi trzymać w więzieniu. Ja napiszę skargę. Czego od nas chcecie?
- To pani prawo - sucho odpowiedział oficer - może pani pisać. Doskonale pani wie, że wszyscy jesteście podejrzani o zamordowanie Jana Cieślaka. Zdradziły was te kosteczki znalezione w pani komórce.
- Nieprawda. Nikt go nie zabijał. Wyjechał do Gdyni.
- Skąd pani wie? Przecież pani go nie widziała.

Aresztowana zmieszala się.

- Pan sam to wymyślił i kazał powtarzać tym dwóm babom, że pojechał do Gdyni.
- Po co miałbym wymyślać? Dlaczego miałoby mi zależeć na waszym aresztowaniu?
- Bo chce pan zarobić na premię za gorliwość.

Oficer milicji od razu przejrzał nową taktykę dziewczyny. Postanowiła wyprowadzić go z równowagi. Stąd to bezczelne zachowanie.

- Zgadza się - oświadczył pogodnie - więc jak to było z Cieślakiem? Był, czy nie był na Psich Budach? Pojechał do Gdyni czy został zakopany w komórce?
- Nic wam nie powiem. Nie chcę z panem rozmawiać.

- Już raz pani mówiłem, że radzę się namyślić i wszystko szczerze opowiedzieć. Radzę tak dla waszego dobra. Miała pani chyba czas do namysłu.

Dziewczyna milczała.

- Czy doszło do bójki wtedy, kiedy Cieślik przyszedł do was w sierpniu 1957 roku?

Brak odpowiedzi.

- Kto pierwszy uderzył?

Milczenie.

- Jak to było z siekierą?

- Nic wam nie powiem. Nie chcę z panem rozmawiać.

- Wolno pani odmówić zeznań. A może woli pani powiedzieć wszystko panu prokuratorowi?

- Nie chcę was znać. Nic nie wiem, nic nie powiem.

- Dobrze - major zrezygnował z dalszego przesłuchiwania i zwrócił się do maszynistki - proszę zrobić w protokole uwagę, że podejrzana Barbara Kosicka odmówiła zeznań.

Maszynistka szybko wystukała tekst i zdjęła z maszyny arkusz „protokołu przesłuchania podejrzanej”.

- Proszę, pani podpisze.

- Nic nie podpiszę.

- W porządku. Wolno pani odmówić podpisania protokołu.

Żeby formalności stało się zadość, major zawezwał jednego z oficerów MO i w jego obecności zrobiono w protokole notatkę, że przesłuchiwana odmówiła podpisania protokołu, po czym milicjant odprowadził Barbarę Kosicką do celi.

Z kolei na krześle naprzeciwko majora zajęła miejsce Honorata Pietrzak.

- Jak to było wtedy w sierpniu? - zapytał Krzyżewski.

Dziewczyna była mniej przystojna od Kosickiej. Już w czasie poprzedniego przesłuchania major zorientował się, że jest i mniej inteligentna od swojej „szwagierki”.

- Ja nic nie wiem - odpowiedziała cichym głosem Honorata.

- Przecież pani była w domu, kiedy Cieślik przyszedł do was prosto z więzienia? To było 30 sierpnia 1957 roku.

- Ja nic nie wiem.

- Pokażę pani to, co pozostało z Cieślika...

Honorata zbladła jak płótno.

- Nie, nie! - krzyknęła głośno.

- Jak to było?

- Ja... Ja nie mogę odpowiedzieć.

- Ale Cieślik był u was w domu?

- Ja się boję mówić.

- Dlaczego? Przecież jeżeli pani nie brała udziału w zabójstwie, nic pani nie grozi.

Przyznanie się do wszystkiego i szczerze opowiedzenie, jak było, może tylko poprawić pani sytuację.

- Boję się. Nic nie powiem.

- Boi się pani Kosickiej i brata?

Dziewczyna nie odpowiedziała na to pytanie.

- To oni zabili?

Honorata wybuchnęła płaczem.

- Niech pan mnie nie męczy. Nic nie powiem. Boję się.

Major starał się uspokoić dziewczynę. Tłumaczył, że dla niej i dla innych będzie lepiej, kiedy opowie, jak to wtedy było w mieszkaniu na Psich Budach. Starał się jej wyjaśnić, że jeśli nadal będzie milczała, to sąd uzna wszystkich za zabójców Cieślika. A przecież -

świadczą o tym ślady na czaszce - zabił go tylko jeden człowiek. Inni, być może, są zupełnie niewinni lub ich wina jest nieproporcjonalnie mała. Dlaczego wszyscy mają cierpieć za jednego?

Honorata Pietrzak słuchała tych słów z wyrazem twarzy, z którego łatwo było odgadnąć, że zgadza się z wywodami oficera, ale mimo to albo milczała, albo powtarzała:

- Boję się. Nie mogę niczego powiedzieć.

- Pani zna Janinę M.

- Tak. To nasza sąsiadka.

- Niech pani posłucha, co zeznała Janina M. - Major odczytał fragment zeznań świadka, mówiący o rozmowie z Kosicką i o jej pobiciu przez Cieślaka.

- Czy tak było? - zapytał skończywszy czytanie.

- Ja nie mogę, mówić. Oni by mi tego nigdy nie darowali - dziewczyna była znowu na pograniczu płaczu.

Major uznał, że na dzisiaj wystarczy. Niech Pietrzakówna jeszcze trochę „dojrzeje” do przyznania się. Niewątpliwie po wypadkach w mieszkaniu Kosickiej Mieczysław Pietrzak, bo on to najprawdopodobniej „zlikwidował” swojego rywala, zapowiedział domownikom, że jeśli którykolwiek z nich piśnie choć słówko, to spotka go los Cieślaka. Dlatego dziewczyna bała się mówić. Ale - major nie wątpił o tym - za kilka dni zrozumie, że może nie obawiać się zemsty brata i to przez wiele, wiele lat. Wtedy pomyśli o ratowaniu własnej skóry i przemówi. A wiedziała wiele, to było widoczne już z tego, co dotychczas powiedziała.

A jednak obydwie ogniwa, które Krzyżewski uważał za najsłabsze w łańcuchu, wytrzymały próbę na obciążenie. Łańcuch, chociaż trochę nadwerżony, trzymał się nadal.

Wobec tego trzeba spróbować zerwać go w innym miejscu.

Z kolei zaczęło się przesłuchanie młodszego Pietrzaka. Tego, któremu na imię było Józef. On to właśnie pracował w listopadzie 1957 roku przy rozbiórkach w rejonie ulicy Kiełbaśniczej.

- Pracowaliście w Miejskim Przedsiębiorstwie Robót Rozbiórkowych w 1957 roku.

- Chyba pracowałem - zgodził się Pietrzak.

- Przy ulicy Kiełbaśniczej też?

- Może i przy Kiełbaśniczej. W wielu miejscach się robiło.

- Ale Kiełbaśniczą powinniście pamiętać. Szczególnie to podwórze domu pod numerem dwadzieścia dziewięć.

Po twarzy Józefa Pietrzaka przeszło ledwie widoczne drgnienie.

- Nie pamiętam. Robiło się, gdzie brygadzysta kazał.

- A w nocy na Kiełbaśniczej nie bywaliście?

- Po co?

- Żeby tam w gruzach ukryć ciało Cieślaka.

- Ja nic nie wiem.

- Ale ja wiem. W dniu 30 sierpnia 1957 roku zamordowaliście w mieszkaniu Kosickiej Jana Cieślika - mówił major - zakopaliście go w komórce pod rurą wodociągową. W

listopadzie, kiedy sąsiedzi bardzo narzekali, że coś w komórkach cuchnie, przestraszyliście się. Baliście się, że ktoś może dać znać milicji. Postanowiliście usunąć zwłoki i schować je gdzie indziej. Właśnie pracowałeś na Kiełbaśniczej i wiedziałeś, że tam, po wywiezieniu cegieł, nikt już nie będzie zaglądał. Bo i po co? Doskonale miejsce do ukrycia zwłok Cieślika.

Więc pewnej nocy, było to gdzieś około 25 listopada, poszliście do komórki i wykopali z ziemi trupa. Owinęliście go w gazety. W „Słowo” i „Gazetę Robotniczą”. Zanieśliście na Kiełbaśniczą pod numer dwudziesty dziewięty, gdzie na podwórzu przygotowaliście płytki, długi rów. Tam złożyliście zwłoki, przysypali gruzem i odłamkami cegieł.

Pietrzak milczał.

- Pracowaliście w nocy - ciągnął dalej major - i baliście się zapalić światło w komórce, żeby was nikt nie zobaczył. Już i tak dosyć narzekano na ten smród. Nie zauważyliście nawet, że przy wyciąganiu trupa z ziemi nie miał już palców u rąk.

Józef Pietrzak milczał.

- To są te palce - major wyjął kopertę i rozsypał na biurku przed młodym człowiekiem drobne kosteczki.

Chłopak zbladł i cofnął się.

- Teraz się boisz, a siekierą uderzać miałeś odwagę.

- To nie ja, to Mietek - wyszeptał Pietrzak - ja tylko dwa razy pięścią. Tylko pomagałem. Mnie kazali...

- A kto bił żelazem? - major zaryzykował mały bluff.

- Rysiek. Rurką od gazu. Nie ja - bronił się młody Pietrzak - ja tylko pięścią. Ja go nie zabiłem.

Major nie chciał przeciągać struny. Obawiał się, że chłopak, chociaż już dużo powiedział, może wycofać się z zeznań. Wyjaśnił jedynie Pietrzakowi, że jego szczerze przyznanie się do winy na pewno będzie uznane za okoliczność łagodzącą przy ferowaniu przez sąd wyroku. Uprzedził też aresztowanego, że nazajutrz będzie przesłuchiwany ponownie. Wtedy opowie dokładnie, jaki był przebieg wydarzeń.

Z kolei wezwano Ryszarda Kosickiego. Ten również najpierw nie przyznawał się do niczego. Nic nie wie, o niczym nie słyszał. Cieślika widział przed jego aresztowaniem.

Pojęcia nie ma, dlaczego ich posądzają o jakieś zabójstwo.

- Słuchajcie, Kosicki - powiedział major - przed godziną przesłuchiwałem Józefa Pietrzaka. Przyznał się do wszystkiego. Przyznał, że Mieczysław, jego brat, uderzył siekierą.

Wyście bili rurką gazową, a on pięściami.

- Łże jak pies! - zaperzył się Kosicki - sam bił rurką i potem kopał nogami.

- A wy?

- Ja tylko uderzyłem parę razy i może kopnąłem. Nie pamiętam.

- A potem pochowaliście go w komórce?

- Ja nie - bronił się Ryszard - Mietek z Józkiem sami go zagrzebali.

- A kto go wykopywał w listopadzie?

- Też oni. Ja tylko patrzyłem, czy nikt nie idzie.

- Na Kiełbaśniczej też patrzyłeś czy kopalesz?

- Józek wykopał za dnia. Stałem na ulicy, a oni dwaj przysypywali go gruzem.

Ryszard Kosicki po zakończeniu swoich zeznań podpisał protokół. Tak jak to zrobił przed nim Józef Pietrzak.

Teraz major ponownie wezwał Honoratę Pietrzakównę. Przeczytał jej zeznania brata i Ryszarda Kosickiego, a nawet pokazał, że zeznania te są podpisane przez obu mężczyzn, aby nie sądziła, że kryje się tu jakiś podstęp.

Honorata przyznała się, że milczała dotychczas z obawy przed zemstą braci, a przede wszystkim Barbary Kosickiej. Wyraźnie zapowiedziano, że kto „sypnie”, ten podzieli los zabitego. Teraz jednak dziewczyna odważyła się mówić. Nie była przecież pierwszą, która złożyła obciążające zeznania. Jej słowa dały pełny obraz wypadków, które rozegrały się tragicznego dnia 30 sierpnia 1957 roku w mieszkaniu na Psich Budach. Każde z rodziny Kosickich i Pietrzaków miało w tej historii swój ponury udział.

Słuchając opowiadania dziewczyny, major Krzyżewski zrozumiał teraz, dlaczego Kosicka tak uparcie milczała. Zrozumiał, jak bardzo mylił się w ocenie roli poszczególnych osób i że przebieg tych zdarzeń był zupełnie odmienny, niż to sobie oficer milicji wyobrażał.

Honorata Pietrzak zeznawała przeszło dwie godziny. Ten fakt zresztą sąd uznał później za okoliczność pozwalającą na wydanie wyroku uniewinniającego.

Następnego dnia oficer milicji znowu przesłuchiwał Józefa Pietrzaka. Tym razem młody człowiek złożył już obszerniejsze zeznania. Potwierdziły one w całej rozciągłości historię opowiedzianą przez

jego siostrę Honoratę. Także i wersja zdarzeń przedstawiona z kolei przez Ryszarda Kosickiego była w zasadzie identyczna z dwiema poprzednimi. Różniła się tylko, tym, że Ryszard Kosicki kategorycznie utrzymywał, iż rurką gazową bił nie on, lecz Józef Pietrzak, ten zaś zdecydowanie wypierał się tego, twierdząc, że rurka znalazła się właśnie w rękach Kosickiego.

To był jednak już drugorzędny szczegół. Wszyscy bowiem zgodnie stwierdzili, że bójkę wszczął Mieczysław Pietrzak i on to właśnie zadawał Cieślikowi ciosy siekierą. Te ciosy były bezpośrednim powodem zgonu byłego więźnia.

Zasada, że o wytrzymałości łańcucha decyduje jego najsłabsze ogniwo, potwierdza się nie tylko w fizyce. Często również i w pracy milicji. Łańcuch zmowy milczenia Pietrzaków i Kosickich pękł, kiedy załamało się najsłabsze ogniwo - Józef Pietrzak. Wtedy i inni zaczęli zastanawiać się nad ratowaniem własnej skóry i otrzymaniem możliwie jak najmniejszego wyroku.

Na następnym przesłuchaniu nawet Mieczysław Pietrzak przyznał się do winy. Nie zaprzeczył i temu, że zadawał ciosy siekierą i że bił z myślą o zabójstwie.

Tylko Barbara Kosicka nie załamała się. Ona jedna nie przyznała się do niczego aż do samego końca. Wiedziała zresztą, że to jej i tak niewiele pomoże.

ROZDZIAŁ X

Wykończ go, Misiek!

Teraz, kiedy już wszyscy prócz Barbary Kosickiej usiłowali jedynie pomniejszyć swoją rolę w krwawym dramacie, major Adam Krzyżewski po kilku przesłuchaniach aresztowanych, mógł już zrekonstruować przebieg wypadków tamtego dnia - 30 sierpnia 1957 roku.

Po południu w mieszkaniu Barbary Kosickiej, przy ulicy Psie Budy we Wrocławiu, znajdowała się trójka: Ryszard Kosicki, Honorata Pietrzak i jej brat Józef. Barbara ze swoim kochankiem, Mieczysławem Pietrzakiem, poszła do kina. Drzwi otworzyły się i stanął w nich Jan Cieślik. Z obecnych w mieszkaniu byłego więźnia znał tylko Ryszard Kosicki.

- Baśka w domu? - zapytał Cieślik.

- Nie, gdzieś wyszła. Jak się masz? Skąd wracasz? - Ryszard udawał radość z niespodziewanych odwiedzin.

- Skąd mam wracać? Właśnie stamtąd. Trzy lata minęły, to i wypuścili. Wyście tu już o mnie zapomnieli, co?

- Nie. Ale myśleliśmy, że dopiero gdzieś w połowie września wyjdiesz.

- A co z Baśką? - dopytywał się przybyły. - Nic nie pisała. Co się z nią dzieje?

- Co się ma dziać? Wyszła z koleżanką. Za godzinę pewnie wróci.

Cieślik rozejrzał się dokoła.

- Nic się tu u was nie zmieniło - zauważył.

- Co się miało zmienić. Żyjemy jak dawniej.

- A to kto? - Cieślik wskazał na Honoratę Pietrzak i dodał: - Twoja cizia?

- Pietrzakówna - wyjaśnił Kosicki - a to jej brat, Józek.

Cieślik usiadł na łóżku.

- Ale jesteś ubrany - podtrzymywał rozmowę Kosicki - dorobiłeś się w mamrze.

- A co ty myślisz? Pracowałem, to i zarobiłem. Ubranie sobie kupiłem, a i pieniędzy trochę przywiozłem. Nie przychodzę z gołymi rękami i głę do żarcia.

- Co myślisz robić?

- Odpocznę parę dni i trzeba będzie rozejrzeć się za jakąś robotą - Cieślik wyjął z kieszeni paczkę „giewontów” i poczęstował obecnych. - To Barbara nic nie wiedziała, że wracam? Przecież pisałem, widocznie list nie doszedł. To się zdziwi, jak przyjdzie do domu.

- Wiesz, Rysiek - zauważył Józef Pietrzak - trzeba oblać taką okazję. Masz trzy dychy, dołóż, kup ćwiartkę i coś na zagrychę.

- Schowajcie pieniądze - Cieślik ujął się honorem - dzisiaj ja płacę.

To mówiąc były więzień wyjął z kieszeni dwa czerwone papierki i wręczył Kosickiemu.

- Kup litra i co potrzeba - powiedział z pańska.

- Pójdę z tobą - ofiarowała się Honorata.

Wyszli oboje. Tymczasem Józef Pietrzak rozmawiał z Cieślikiem, opowiadał mu, że pracuje jako „skoczek” przy rozbiórkach i ile można przy tej robocie zarobić.

Na ulicy Kosicki zdecydował:

- Honorata, leć przed kino i jak Barbara z Mietkiem wyjdą, to powiedz im, że Cieślik wrócił i chce u nas mieszkać. Jak dawniej.

Dziewczyna pobiegła w stronę kina, Kosicki kupił wódkę, parę ogórków i pół kilograma kiełbasy. Wrócił z zakupami do domu. Trójka od razu zaczęła pić. Cieślik był bez obiadu.

Przez trzy lata pobytu w więzieniu musiał pędzić żywot przymusowego abstynenta. Nic więc dziwnego, że po godzinie był już mocno podchmielony. A tymczasem Honorata Pietrzak spacerowała

tak długo przed kinem, aż skończył się seans i publiczność zaczęła opuszczać salę. Wśród wychodzących byli Barbara Kosicka i Mieczysław Pietrzak.

- Baśka - Honorata podeszła do wychodzących - przysłał mnie Rysiek. Cieślika wypuścili z więzienia i jest na Psich Budach. Powiedział, że wrócił do ciebie i będzie z wami mieszkał.

- Cieślik? A czego on tu jeszcze chce? - zdziwiła się nieprzyjemnie Kosicka.

- Opowiadał, że weźmie pracę we Wrocławiu. Przyjechał w nowym garniturze. Jest przy pieniądzach. Ryśkowi dał dwieście złotych na wódkę i zagrychę.

- Co robić? - zdenerwował się Mieczysław Pietrzak.

- Rysiek mnie posłał, żebyś was uprzedziła.

- Musisz go jakoś spławić - nastawał na kochankę Mieczysław.

- Ja? - oburzyła się Kosicka. - Ty jesteś mężczyzną, to twoja sprawa.

- Więc co mam robić?

- Musisz go wykończyć, Mietek - zawyrokowała Barbara Kosicka.

Taki miała wpływ na zakochanego w niej chłopaka, że ten nawet nie zaprotestował. Szli w stronę domu. Barbara udzielała ostatnich instrukcji.

- Nie bój się, to słabizna. Nigdy nie był chojrakiem, a teraz po trzech latach pobytu w mamrze musi być jeszcze słabszy. Nietrudno go będzie wykończyć.

Weszli na ulicę Psie Budy i stanęli na podwórku przed domem. Kosicka rozkazała.

- Idź na górę i załatw go. My tu z Honoratą poczekamy.

Mieczysław Pietrzak nie oponował.

Kiedy drzwi otworzyły się i Mieczysław wszedł do środka, Cieślik siedział na łóżku.

Naprzeciwko niego przy stole, stojącym zresztą tuż przy łóżku, zajmowali miejsca Ryszard i Józef Pietrzak. Mieli dobrze w czubie, a Jan Cieślik był prawie kompletnie zalany.

- A to kto? - zapytał wskazując na Mieczysława.

Ten zbliżył się do byłego więźnia.

- Jestem mężem Baśki - powiedział - a ciebie, gnojku...

Z tymi słowami uderzył, ile sił, Cieślika pięścią w twarz. Napadnięty znieacka przewrócił się na łóżko. Ale zaraz zerwał się i zaczął szamotać się z napastnikiem. Ten był

jednak o wiele silniejszy i znowu przewrócił swoją ofiarę na łóżko.

W tej chwili do pokoju weszła Barbara Kosicka.

- Zrzuć go z łóżka - powiedziała do kochanka - bo mi całą pościel uświni.

Pietrzak nadal bił Cieślika.

- A wy co? Siedzicie i przyglądacie się? Pomóżcie mu - rozkazała zwracając się do brata i do Józefa Pietrzaka.

Obaj włączyli się do akcji. Jeden porwał za stojącą w rogu rurkę gazową, drugi kopnął

leżącą na ziemi ofiarę. Teraz, na przesłuchaniach w milicji, każdy z nich wypierał się zadawania ciosów rurką. Józef Pietrzak twierdził, że bił nią Kosicki. Ryszard natomiast zeznawał, że on kopnął Cieślika, rurki używał Pietrzak.

- Siekierą go - rozkazała w pewnym momencie Barbara Kosicka.

Mieczysław Pietrzak chwycił siekierę i zadał nią kilka ciosów. Raz nie trafił w głowę, lecz w ramię nieprzytomnego już Cieślika.

- Trzeba z niego zdjąć ubranie - powiedziała Barbara - nowe, łatwo się sprzeda na „szaber-placu”.

To zadanie wykonał Ryszard Kosicki. Następnie mężczyźni włożyli zwłoki do worka, i zanieśli do komórki stojącej na podwórzu. Tam też Jan Cieślik został pochowany.

Barbara Kosicka tymczasem spaliła wszystkie dokumenty, jakie znajdowały się w ubraniu byłego więźnia. W tym również i książeczkę PKO z parusetzłotowym wkładem.

Uważała, że próby podjęcia pieniędzy z tej książeczki mogą być zbyt dużym ryzykiem. Obie dziewczyny wymyły zakrwawioną podłogę i doprowadziły pokój do normalnego wyglądu.

Ubranie Cieślika schowano do szafy. Kiedy mężczyźni wrócili na górę, Barbara Kosicka zbeształa ich:

- Narobiliście takiego hałasu, że pewnie sąsiedzi słyszeli i będą gadać. Trzeba na to coś poradzić.

Zamyśliła się.

- Już wiem! Mietek, uderz mnie mocno w twarz.

- Ciebie? W twarz? Po co? - Pietrzak nie mógł zrozumieć planu kochanki.

- No, bij - nalegała - tylko mocno.

Mieczysław Pietrzak spełnił rozkaz. Na policzku Barbary wyskoczyła duża czerwona plama.

- Pójdę do sąsiadów - oznajmiła Kosicka - i opowiem im, że zjawił się u nas Cieślik i kiedy się dowiedział, że jestem teraz z Mietkiem, to mnie pobił, powiedział, że wyjeżdża do Gdyni, wyszedł i trzasnął drzwiami.

Sąsiadki trochę się uzaliły nad Barbarą i potępiły brutalność mężczyzn. Wymówka była zręczna. W tych sferach takie awantury zdarzają się często i nie budzą zbytniej ciekawości.

Szybko też o wszystkim zapomniano. Dopiero po latach, w czasie przesłuchań milicyjnych, kobiety z domu przy ulicy Psie Budy przypomniały sobie opowiadanie Barbary Kosickiej.

Ale wtedy nie było to już jej na rękę i dlatego tak kategorycznie wszystkiemu zaprzeczała.

Zaraz na drugi dzień Honorata Pietrzak pobiegła na Plac Nankera, na targowisko popularnie zwane „szaber-placem”, i za parę setek sprzedała ubranie po Cieśliku. Awanturą w mieszkaniu Kosickiej nikt się nie zainteresował. Nikt też, poza komendantem posterunku milicji w małym kieleckim miasteczku, nie zwrócił uwagi na dziwne zaginięcie Jana Cieślika.

Jedynie komendant napisał raport, że zwolniony z więzienia człowiek nie dokonał

formalności meldunkowych. Ta notatka powędrowała drogą służbową wyżej, ale przestępstwo było tak niewielkie, że nie wszczęto wówczas poszukiwań za byłym więźniem.

Upływały dni, tygodnie i miesiące. Kosiccy i Pietrzakowie czuli się coraz bezpieczniej.

Nikt nie pytał o Cieślika, nikt go nie szukał. Mieszkanie było zupełnie „czyste”. Na wszelki wypadek Barbara pozbyła się nawet siekiery. Rurka gazowa spoczęła na dnie pobliskiej Odry.

Tylko w komórce na węgiel, pod murem, tam gdzie biegnie rura wodociągowa, ciągle spoczywało ciało zabitego. Sąsiedzi zaczęli opowiadać, że w tych komórkach coś dziwnie cuchnie. Byli tacy, którzy chcieli interweniować u piekarza. Podejrzewali, że to skutki przeprowadzanej przez piekarnię akcji deratyzacji.

Barbara Kosicka pierwsza zrozumiała niebezpieczeństwo.

- Będą się wszędzie szwendać i dojdą w końcu, że to z naszej komórki tak zalatuje -

powiedziała do mężczyzn - trzeba go zlikwidować.

- W nocy do Odry - zaproponował Mieczysław Pietrzak.

- Nie da rady - Barbarze nie spodobał się ten pomysł - na moście ruch duży. Brzegi oświetlone. Milicja stale tam się kręci. Mogą jeszcze zobaczyć.

- Najlepiej na Kiełbaśniczą - Józef Pietrzak wysunął inny projekt - tam, gdzie teraz pracujemy. Jeszcze tylko dwa dni i będzie po robocie. Nikt tam nigdy więcej nie zajrzy, bo i po co? Co tylko

miało jakąś wartość, już wywieziono. Został sam gruz. Tam ciemno. Latarni nie ma. Wieczorem nikt się nie kręci.

- Tak będzie dobrze - przytaknęła Kosicka - nie trzeba nawet wychodzić na ulicę.

Można będzie przejść podwórkami i przez spalone domy.

- Tylko Józek musi za dnia przygotować dół - doradził Ryszard - żeby od razu wrzucić, zakryć i pryskać.

Za dwa dni, zgodnie z planem ułożonym przez Kosicką, odbyła się makabryczna ekshumacja. Dokonała jej znowu trójka mężczyzn. Pracowali w zupełnej ciszy. Bali się zapalać światła. Barbara Kosicka stała przed komórką na straży, aby ostrzec kopiących, gdyby któryś z sąsiadów przypadkowo nadszedł.

Pracowali w pośpiechu. Chcieli uporać się z tym jak najszybciej, bo odór był wprost nie do wytrzymania. Zwłoki, które przeleżały prawie trzy miesiące, w „wilgotnym, ciepłym miejscu”, uległy piorunującemu rozkładowi. W pośpiechu i w ciemnościach nie zauważono; iż wiązania stawowe rąk zabitego uległy już zniszczeniu i palce pozostały w ziemi komórki.

Ciało owinięto pękiem przygotowanych wcześniej gazet, włożono do worka i szybko przeniesiono na ulicę Kiełbaśniczą, do grobu wykopanego przez Józefa Pietrzaka. Był to tylko płytki rów głębokości trzydziestu centymetrów. Pietrzak uznał, że to wystarczy i nie ma sensu bardziej się męczyć. Jak się później okazało, popełnił fatalny błąd, ale o tym przekonał

się dopiero w trzy lata później.

Na razie panował spokój. Sąsiedzi przestali narzekać, a wśród ruin na ulicy Kiełbaśniczej nikt się nie kręcił. Nikomu też nie przyszło nawet do głowy, żeby rozkopywać mały pagórek gruzu na podwórzu, gdzie dawniej stał dom oznaczony numerem dwudziestym dziewiątym. Teraz już cała piątka była spokojna, że żadna wsypa jej nie grozi i sprawa tajemniczego zaginięcia Jana Cieślika nigdy nie wyjdzie na jaw. Barbara Kosicka zdawała sobie sprawę, że niebezpieczeństwo może nadejść tylko z jednej strony - któreś z nich może się wygadać przypadkowo lub nawet pochwalić po paru kieliszkach wódki. Dlatego zapowiedziała Pietrzakom, żeby na wszelkie pytania o Cieślika odpowiadali, że go nie znali ani o nim nigdy nie słyszeli. Brat Kosickiej, Ryszard, miał trzymać się wersji, że Jana Cieślika widział ostatni raz jeszcze przed jego włamaniem się do sklepu i aresztowaniem. Tak mieli mówić we wszystkich okolicznościach. W przeciwnym razie właściciela zbyt długiego języka spotkać może tylko jeden los - taki właśnie, jaki przypadł byłemu więźniowi.

Barbara Kosicka przypuszczała również, że sąsiadki zapomną o zainscenizowanej przez nią historii z rzekomym pobiciem jej przez Cieślika. I to również, jak się później okazało, było błędem.

Ale na razie nic nie mąciło spokoju całej piątki. Nawet fakt, że na ulicę Kiełbaśniczą zjechały ekipy robotników i samochody ciężarowe, żeby wywozić gruz. Taki doskonały plac, uzbrojony i położony w samym prawie centrum miasta, nie mógł się dłużej marnować. Na miejscu zburzonych przez wojnę miały wyrosnąć nowe, piękne domy. Ale przedtem trzeba było odgruzować cały teren.

Obaj bracia Pietrzakowie i Ryszard Kosicki nadal pracowali jako robotnicy budowlani.

Wprawdzie nie przy ulicy Kiełbaśniczej, ale gdzie indziej. Mieli jednak znajomków zatrudnionych i na tej budowie. Toteż od razu dowiedzieli się, że przy usuwaniu gruzu z posesji nr 29 odkryto jakiś szkielet. Według komentarzy naocznych świadków tego zdarzenia, białe kości, wykopane spod gruzu, uznane zostały za doczesne szczątki jakiegoś Niemca, który zginął w czasie wojny.

Taki rozwój wypadków był bardzo po myśli Barbary Kosickiej. Teraz poczuła się zupełnie bezpieczna. Ostatni ślad zbrodni zniknął.

Ani ona, ani jej rodzina nie wiedziała, że szkielet nie miał palców i że milicja tak długo będzie szukała tych drobnych kosteczek, aż je w końcu znajdzie w warstwie wilgotnej ziemi pod pękniętą rurą wodociągową w ich komórce.

Dlatego takimi drwinami witała Kosicka milicję, która przyszła na ulicę Psie Budy, aby zrobić rewizję. Później, kiedy zrozumiała, że tajemnica śmierci Jana Cieślaka wydała się, liczyła jeszcze na działanie swoich gróźb. Sama milczała i spodziewała się, że i inni nic nie powiedzą. Przypuszczała, że to tak skomplikuje sprawę, iż w końcu sąd ukarze ich wprawdzie, ale nie zorientuje się, kto jaką rolę odegrał w tej zbrodni. Wówczas, jako kobieta, mogła liczyć na stosunkowo niski wyrok.

Ale i te rachuby zawiodły Barbarę Kosicką. Łańcuch milczenia zbyt obciążony pękł w swoim najszlubszym ogniwie. Później, kiedy już mówili i inni, tylko ona milczała aż do końca.

ROZDZIAŁ XI

W pracy milicyjnej nie ma przypadków

Major, zmęczony długim opowiadaniem, zamilkł i podniósł do ust filiżankę z resztką wystygłej kawy.

- Kawa zupełnie zimna, to przez was - zauważył. - Ale szkoda, żeśmy się nie założyli.

Byłbym wygrał. Czemu jak czemu, ale swojej pamięci mogę jeszcze ufać.

- Pan major nie dokończył jednak tej historii szkieletu bez palców.

- Nie dokończyłem? - zdziwił się oficer milicji. - Czego chcecie jeszcze?

- Epilogu w sądzie - odparłem.

- Był i epilog. Nawet nie jeden, lecz trzy.

- Trzy? - Teraz ja się zdziwiłem.

- Najpierw była rozprawa w sądzie wojewódzkim. Wszyscy prócz Kosickiej przyznali się do zbrodni i jak mogli, tak starali się zmniejszyć swoją rolę. Sąd wymierzył surową karę: Mieczysława Pietrzaka skazano na karę śmierci, Ryszarda Kosickiego na 15 lat - obu za bezpośredni udział w zbrodni. Barbarę Kosicką za podżeganie do zabójstwa na 5 lat, Józefa Pietrzaka za pomoc w zbrodni

na 4,5 roku. Honoratę Pietrzak sąd, biorąc pod uwagę jej młody wiek i szczerą skruchę, uniewinnił.

- Wnieśli rewizję do Sądu Najwyższego? - domyśliłem się.

- Mieczysława Pietrzaka broniła, zresztą z urzędu, znana wrocławska adwokatka, mecenas Iwona Madeyska. Ona to jak lwica walczyła przez prawie dwa lata o głowę swojego podopiecznego. W swojej rewizji dowodziła, że *spiritus movens* całej zbrodni była wyłącznie Barbara Kosicka. Pietrzak, zakochany w dziewczynie, był jedynie bezwolnym wykonawcą jej rozkazów. Poza tym pani mecenas powoływała się na młody wiek swojego klienta, jego dotychczasową niekaralność, dobre na ogół opinie z miejsc pracy. Słowem uważała wyrok za zbyt surowy i twierdziła, że temu młodemu człowiekowi należy dać jeszcze szansę poprawy.

Sąd Najwyższy podzielił wywody adwokatki i uchylił wyrok, przekazując sprawę z powrotem do Wrocławia. Następny komplet Sądu Wojewódzkiego, związany zresztą motywami Sądu Najwyższego, był łaskawszy dla Mieczysława Pietrzaka. Skazano go na dożywocie. Co do reszty oskarżonych pierwszy wyrok j zatwierdzono.

- Jak to czasem wymiar sprawiedliwości chodzi dziwnymi drogami - zauważyłem -
nawet tutaj decyduje przypadek.

: - Jaki przypadek? - oburzył się Krzyżewski. - Od początku prowadziliśmy klasyczne dochodzenie. Ekspertyzy, wywiady środowiskowe, poszukiwania w całej masie dokumentów, rozszyfrowanie kilkuset co najmniej meldunków o zaginionych. Nic tu nie działo się przypadkowo. To nie był „ślepy traf” czy też „genialny przebłysk intuicji”. To była taka operacja, jak rozwiązywanie równania matematycznego z paru niewiadomymi.

- Nie o to mi chodzi - odparłem - rzeczywiście, jeśli mówimy o samym dochodzeniu, to o takiej sprawie i takich sposobach szukania przestępcy można nawet pisać w podręcznikach kryminalnych. Ale nie zaprzeczy pan, że zaczęła się przez przypadek.

- Zawsze ktoś musi odkryć zbrodnię - bronił się major - bez tego dochodzenie nie może ruszyć.

- Znowu mówimy o czym innym. Przyzna pan jednak, majorze, że gdyby nie było takiego upału i gdyby pański pokój w gmachu Komendy Wojewódzkiej nie miał okien od strony południowej, to siedziałby pan spokojnie za biurkiem i ani by mu w głowie nie powstała myśl, żeby osobiście fatygować się do garstki kości wykopanych przez robotników budowlanych. A wtedy cała historia nabrałaby innego charakteru.

- Dlaczego? - zachnął się oficer.

- Po prostu szkielet uznano by za resztki jakiegoś Niemca zabitego w czasie wojny i pochowano na cmentarzu komunalnym. Nikt nigdy nie odkryłby zabójców Jana Cieślika.

Tylko przypadek i upał spowodowały, że na miejsce makabrycznego odkrycia pofatygował się wyższy oficer milicji, znakomity spec od łowienia przestępców. Powiem więcej, gdyby ulica

Kielbaśnicza nie leżała tuż nad Odrą, to i upał nic by nie pomógł. Pan major Krzyżewski nie pojechałby tam, lecz skorzystał z jakiejś innej okazji, żeby urządzić sobie małe wagary.

Major słuchał zdumiony, wreszcie roześmiał się.

- Sprytnie pan to wykombinował. Ale w pracy milicji nie ma przypadków. Tu nie grają roli ani upał, ani wagary wyższych oficerów. Czy ja tam pojechałem, czy też na miejsce odkrycia szkieletu udałby się tylko dyżurny sierżant z ekipą dwóch kaprali, skutek byłby ten sam.

- Wątpię.

- Absolutnie ten sam. Tak samo musiałyby być sporządzony bardzo dokładny protokół

ogłędzin całego szkieletu. Tak samo znaleziono by i zabezpieczono szczątki gazet w języku polskim, odkryte w pobliżu szkieletu. Tak samo lekarz milicyjny stwierdziłby, że szkielet nie ma palców. I tak samo ruszyłaby cała wielka machina dochodzeniowa. Rezultaty byłyby też takie same. Osoba prowadząca śledztwo gra najmniejszą rolę. Przecież to nie on sam dokonuje tych wszystkich czynności, lecz pracuje cały zespół. I nie on sam odnosi zwycięstwo. Sukcesy przynosi tylko praca zespołowa, poczynając od wybitnego specjalisty antropologa, który przeprowadza skomplikowane analizy kości, aż po milicjanta, który szufelką wybierał z piwnicy małe kosteczki uczernione błotem. Przyznaję, jedno by się tylko zmieniło.

- Co mianowicie?

- Nie musiałbym tu prawie dwie godziny opowiadać wam tej historii...

KONIEC

Okładkę projektował MARIAN STACHURSKI

Państwowe Wydawnictwo „Iskry” Warszawa 1968 r. Wydanie I. Nakład 100.000 + 250 egz. Ark. wyd. 3,9. Ark.

druk. 2,75. Papier druk. sat. VII kl. 60 g. 70X100 z f-kl w Myszkowie. Oddano do składania w czerwcu 1968 r.

Druk ukończono w grudniu 1968 r. Wrocławska Drukarnia Dzielowa. - Zam. nr 1T75/A. OR-5 Cena zł 6.-